MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 36. WARSZAWA, 26 LIPCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

KATASTROFA GOSPODARCZA W NIEMCZECH

W CIĄGU wieku XIX Europa zajęła stanowisko kierownicze w gospodarstwie światowem. W Europie zaś obok Anglji stanęły w pierwszym szeregu Niemcy. Później wślad za państwami Europy Zachodniej zjawiły się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i wyprzedziły Anglję i Niemcy. Państwa te gromadziły surowce z całego świata i przerabiały je we własnych fabrykach; były przewoźnikami surowców i gotowych fabrykatów na własnych statkach; dwa z nich — państwa anglosaskie — były bankierami świata. Olbrzymie bogactwa płynęły zewsząd do Ameryki Północnej i do Europy Zachodniej; to zaś dawało światowi przedwojennemu podnoszenie się poziomu dobrobytu i poczucie pewności i stałości.

Na przełomie wieku XIX i XX rozwijały się też w bardzo szybkiem tempie Niemcy. Stworzyły wszechstronny przemysł, zdobywały źródła surowców, szukały rynków zbytu na całej kuli ziemskiej, budowały flotę handlową, zajmowały pozycję za pozycją w organizacji obrotu pieniężnego; przystosowywały do tego wszystkiego swą politykę i swe siły zbrojne. Wojna miała im dać nowe sfery wpływów, nową potęgę polityczną, a przez to zapewnić rozwój gospodarczy...

Klęska poniesiona w r. 1918 zburzyła niemieckie sny o potędze. Lecz trzeba pamiętać o tem, że nie wojna jest przyczyną tego wszystkiego, na co dziś w Niemczech patrzymy. Zarodki wydarzeń współczesnych tkwiły już w samym rozwoju stosunków przedwojennych w Niemczech i w całym świecie.

*

Po zawarciu pokoju krótko trwał okres prostracji w Niemczech. Kraj nie przeszedł inwazji obcej, cała armatura gospodarcza pozostała nietknięta. Gdy przełamano i opanowano tendencje rewolucyjne, gdy się ustaliły stosunki, zabrał się i naród niemiecki do odbudowy. Puszczono w ruch cały aparat gospodarczy, rozwinięto go i rozszerzono za pieniądze napływające z zagranicy, przedewszystkiem z Ameryki. Pracowano w przeświadczeniu, że nic się zasadniczo nie zmieniło, że wojna była tylko chwilowem załamaniem się, że po zaleczeniu ran przez nią zadanych, będzie można nawiązać do tego stanu, w jakim były Niemcy przed rokiem 1914, że po niemiłem *intermezzo* wojennem nastąpi nowa era rozwoju gospodarczego Europy, a w niej Niemiec. I był czas, gdy zdawało się, że wszystko idzie jaknajlepiej. Na terenie politycznym państwa zwycięskie same pomagały Niemcom w odzyskaniu ich przedwojennej potęgi. Powróciło zaufanie do zdolności i umiejętności narodu niemieckiego i do jego tężyzny gospodarczej. Wyraziło się to w postaci miljardów, wpływających zewsząd do organizmu gospodarczego niemieckiego. Ludzie podróżujący po Niemczech nie mogli się nadziwić natężeniu pracy, wyrastającym wszędzie nowym fabrykom, rozszerzaniu dawnych, budownictwu mieszkaniowemu, inwestycjom i t. d. Z gorączkowym pośpiechem odbudowywano i powiększano cały aparat, który miał przynieść Niemcom nowy okres świetności gospodarczej, a wślad za tem potęgi politycznej.

*

Na tem jasnem tle wszakże zjawiła się ciemna plama — bezrobocie. Jest ono dowodem, że aparat gospodarczy niemiecki nie może znaleźć pełnego zastosowania, bo niema nabywców na wytworzone przezeń produkty. Z początku zdawało się, że jest to sytuacja przejściowa. Przyczyn dopatrywano się w następstwach wojny, w zamknięciu rynków rosyjskich, w zbiednieniu ludów Europy Wschodniej, w barjerach celnych, postawionych przez nowe państwa, w zamieszkach na terenie Azji, w dewaluacji srebra, w niepokoju politycznym i t. d.

Działały zapewne wszystkie te przyczyny, lecz ponad wszystko inne wysunęły się dwa fakty — decentralizacja przemysłu światowego i utrata prymatu politycznego i gospodarczego przez Europę Zachodnią i Amerykę Północną. Pisał o tem Dmowski[1]), ilustrował to na przykładzie angielskim André Siegfried.

W krajach azjatyckich, w dominjach angielskich, w Ameryce Południowej, w nowych krajach Europy Wschodniej, w Rosji, powstaje w czasie wojny i po wojnie własny przemysł; ustalają się dążenia do samowystarczalności. Równocześnie zaś obniża się poziom życia, ludzie muszą się ograniczać. Nastąpił przewrót w całej geografji gospodarczej świata oraz obniżenie konsumcji naskutek powszechnego zbiednienia i niepokojów politycznych w szeregu krajów. Nie jest to przesilenie „normalne", jedno z tych, na jakie patrzyliśmy w ciągu ostatnich lat dziesiątków, przesilenie, wynikające z anarchji w produkcji, będące przejawem przystosowywania się środków produkcji do zdolności konsumcyjnej ludzkości. Jest to katastrofa, dotykająca przedewszystkiem kraje o wysokiej industrjalizacji, posiadające ludność o wysokim poziomie potrzeb, przyzwyczajoną do komfortu życiowego. Kraje te będą musiały się przystosować do nowej geografji gospodarczej świata i do nowych warunków — i to, jak już dziś widać, środkami rewolucyjnemi. Załamał się bowiem nietylko ich system gospodarczy, lecz także system polityczny i cała organizacja moralna. Europa Zachodnia, a za nią Ameryka Północna weszły w okres wszechstronnego przesilenia, które co do głębi i obszaru można chyba porównać tylko z epoką upadku Cesarstwa Rzymskiego.

*

Przesileniem tem są objęte także Niemcy, jako państwo należące do najbardziej zindustrjalizowanych, mające organizację gospodarczą przystosowaną do potrzeb okresu, gdy Europa Zachodnia miała prymat gospodarczy i polityczny na kuli ziemskiej.

Zmieniły się radykalnie stosunki, i to nie naskutek wojny, lecz naskutek konieczności rozwojowych, których wojna była tylko jednym z przejawów. Nie zmieniła się natomiast w niczem organizacja i polityka gospodarcza Niemiec powojennych. Cały ich aparat gospodarczy był dalej rozwijany i nastawiany tak, jakby wszystko miało powrócić do stanu z przed roku 1914. Tymczasem to nie nastąpiło, nastąpić nie mogło i nie może. Dlatego to stoi dziś cały aparat gospodarczy Niemiec w próżni, dlatego była katastrofa rzeczą nieuniknioną. I nic nie zdoła uratować Niemiec od konieczności przystosowania się do nowych warunków, od konieczności rewolucyjnej przebudowy całego organizmu gospodarczego i — co za tem idzie — swej polityki powojennej.

*

Napisałem już gdzieindziej, że Niemcy jadą na jednym wózku katastrofy gospodarczej z Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Są całym systemem gospodarczym i licznemi interesami związane z temi krajami. Katastrofa niemiecka musi mieć daleko idące następstwa dla całego gospodarstwa światowego, w pierwszej linji dla krajów anglosaskich. Zewnętrznym wyrazem tych związków są olbrzymie kredyty, udzielane Niemcom przez Amerykę. Wystarczy zaś obserwować giełdy krajów anglosaskich, by sobie zdać sprawę z powiązania Niemiec z gospodarką światową.

To tłumaczy w zupełności skwapliwość, z jaką Londyn i Waszyngton pośpieszyły z ratunkiem dla Niemiec. Propozycja prez. Hoovera, presja Anglji i Stanów Zjednoczonych na Francję — są to rzeczy zrozumiałe i konieczne.

Czynnikiem bardzo potężnym dzisiaj są wielkie finanse i wielki przemysł, to cośmy zwykli nazywać kapitałem międzynarodowym. Tym, co myślą przestarzałemi kategorjami, wydaje się, że patrzą tylko na grę interesów państwowych, czy narodowych; w rzeczywistości walczy o swe istnienie i o swe przewagi wielki kapitał, który nie zna granic i kontynentów, dla którego kryzys niemiecki jest istotną częścią składową kryzysu ogólnego, zapowiedzią katastrofy, zagrażającej całemu systemowi gospodarczemu świata.

*

U szczytu tego systemu stoją finanse międzynarodowe. W typowych krajach współczesnego industrjalizmu spoczywa kierownictwo gospodarcze w rękach finansistów. Do przeszłości należą już wielkie fabryki, przedsiębiorstwa i domy handlowe, będące własnością indywidualną, pozostającą pod kierunkiem ludzi związanych z ziemią i z narodem. Miejsce takich przedsiębiorstw zajęły towarzystwa akcyjne i ich związki. W tych zaś rządzą dostarczyciele kredytów, kierownicy wielkich banków, które także są przedsiębiorstwami akcyjnemi. Magnatami współczesnymi są nie wielcy posiadacze ziemscy, lub kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, lecz przedewszystkiem

---

[1]) „Świat powojenny i Polska".

bankierzy. Przejawem rozpoczynającej się katastrofy gospodarczej świata są bankructwa wielkich banków: *Credit Anstalt*'u w Austrji, *Danat—Bank*'u w Niemczech. Któż stoi na czele tych banków? Rotschild w Wiedniu i Jakub Goldschmidt w Berlinie... Ten ostatni jest podobno członkiem 392 rad nadzorczych towarzystw akcyjnych. Wystarczy to sobie wyobrazić, by zrozumieć mechanizm współczesnego życia gospodarczego. Katastrofa, zagrażająca Europie Zachodniej i Ameryce Północnej, jest przedewszystkiem katastrofą, grożącą współczesnym magnatom finansowym. A że mają oni przeważne wpływy na rządy państw, więc nie można się dziwić, że się mobilizuje cały świat, by szedł z pomocą na ten odcinek, gdzie zagrożony jest cały system, na odcinek niemiecki.

*

Naszem zdaniem, pozycja jest stracona. Nic nie uratuje już od katastrofy obecnego systemu gospodarczego Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Kraje, które nie są z nim tak ściśle związane, jak Anglja, Stany Zjednoczone i Niemcy, popełnią najwyższą lekkomyślność, jeśli się pozwolą pociągnąć ku upadkowi przez tych, którzy są nań skazani. Miljardy dane dziś Niemcom nie uratują ich, mogą conajwyżej odroczyć katastrofę, a jednocześnie zwiększyć jej natężenie, gdy nastąpi później. Udział Francji (nawet przy jaknajdalej idących gwarancjach politycznych) w tej beznadziejnej akcji ratowniczej przynieść jej może tylko szkody i niebezpieczeństwa.

*

Rewolucji gospodarczej musi towarzyszyć w Niemczech rewolucja polityczna. To, co dziś jest, utrzymać się nie zdoła. Stronnictwa związane z rozkładającą się organizacją gospodarczą nie będą mogły sprostać nowym zadaniom, nie są poprostu zdolne do zrozumienia tego, co się dziś dzieje, żyją w świecie zamierającym. Zbliża się chwila, gdy na widownię polityczną wystąpi Hitler.

STANISŁAW KOZICKI

ŚWIATOWY KRYZYS ROLNY I DROGI WYJŚCIA

W DWUCH poprzednich artykułach [1]) staraliśmy się określić istotę i przyczyny światowego kryzysu rolnego. Istota tego kryzysu polega, jak wiadomo, na dysproporcji między kosztami produkcji a cenami artykułów rolnych, przyczyny zaś jego tkwią przedewszystkiem w braku równowagi między konsumcją a produkcją. Jako cecha charakterystyczna występuje tu przytem bardzo szeroka skala nasilenia kryzysu w poszczególnych krajach i różnorodność zjawisk z nim związanych, tak, że w wyniku mamy właściwie do czynienia z szeregiem kryzysów o swoistej statyce i dynamice.

Tem nie mniej, niezależnie od głębokich różnic, jakie zachodzą w warunkach produkcji i zbytu między poszczególnemi krajami, można mówić, przy rozważaniu kryzysu rolnego, o istnieniu ogólnych, międzynarodowych przejawów i przyczyn. To samo dotyczy i problemu środków zaradczych. Obok tych posunięć polityki gospodarczej, które wydają się pożyteczne tylko w odniesieniu do specyficznych wymagań danego rynku — narzucają się zagadnienia zasadnicze, wspólne wszystkim państwom. Rozwiązanie powyższych zagadnień może się dokonać jedynie wspólnym wysiłkiem. Pożytek uzgodnionej międzynarodowej akcji wynika jasno ze zrozumienia faktu, że produkcja krajowa nie jest izolowana i że nie można abstrahować od warunków rynku światowego.

Mówiąc o pożytku środków zaradczych w skali międzynarodowej, do których dołączać się będą na terenie tego czy innego państwa takie lub inne specjalne posunięcia, przesądziliśmy już niejako sprawę celowości ich stosowania, celowości świadomej polityki gospodarczej. Tem samem uznaliśmy, że wobec klęski kryzysu, jaka dotknęła kraje rolnicze, a w związku z tem i świat cały, niepodobna czekać z założonemi rękami, licząc na dobroczynny automatyzm życia gospodarczego w kierunku przywrócenia zwichniętej równowagi.

Automatyzm życia gospodarczego w kierunku równowagi czynników, rządzących podażą, popytem i ceną, trzema współzależnemi wielkościami, jest faktem niewątpliwym, zwłaszcza w ujęciu na dalszą metę. W praktyce wszakże, ów „powrót do równowagi" wiązać się może z takiemi wstrząsami i z taką sumą nędzy ludzkiej, że sprawa odpowiedniej polityki gospodarczej, łagodzącej ciężki okres przejściowy, staje się sprawą pokoju socjalnego a nawet bytu niejednego społeczeństwa. To też najmniej nawet skuteczną politykę uznać należy za znacznie lepszą, niż brak wszelkiej myśli w tej mierze. W tym sensie uważamy kwestję za całkowicie przesądzoną.

Jeśli chodzi o kierunki światów polityki anty-kryzysowej — na plan pierwszy wysuwają się trzy podstawowe problematy. Są niemi zagadnienia: zwiększenia konsumcji, zmniejszenia produkcji wreszcie organizacji rynku. Rozpatrzymy je po kolei w krótkich słowach.

* * *

Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby udało się zwiększyć konsumcję produktów rolnych — miałoby to dodatni wpływ na ceny, a tem samem przyczyniłoby się, wespół z innemi czynnikami, do opanowania kryzysu. Jednakże przy bliższem wejrzeniu w zagadnienie uwidoczniają się takie trudności, które nie pozwalają przywiązywać większych nadziei do tego kierunku wysiłków i prób.

Przedewszystkiem należy wyłączyć, przy rozważaniu sposobów zwiększenia konsumcji, metodę obniżania cen. Wszak zwiększenie konsumcji ma się przyczynić do ich wzrostu. W tem miejscu

---

[1]) Ob. nr. 32 i 33. Artykuł w nr. 33 zatytułowano błędnie; miast „Istota światowego kryzysu rolnego" powinno być: „Przyczyny światowego kryzysu rolnego", tak jak oznaczono w spisie rzeczy.

warto przypomnieć, że większość tych artykułów, które decydują o kryzysie rolnym, a więc artykułów zbożowych, charakteryzuje się „sztywnym" popytem, a więc popytem słabo reagującym na zmiany cen. Najlepszym tego dowodem — obecny stan rzeczy, w którym obok zjawisk katastrofalnego spadku cen artykułów rolnych — występuje zjawisko stosunkowego... zmniejszenia się konsumcji, miast jej zwiększenia jakby się można było spodziewać.

O wielkości konsumcji produktów rolnych decyduje przedewszystkiem ilość ludzi Jest to wszakże typowa zmienna niezależna, regulowana również przez szereg czynników zupełnie pozagospodarczej natury. Zwalczanie kryzysu drogą zwiększania ilości konsumentów równa się w rzeczywistości rezygnacji — procesy populacyjne dokonywają się bowiem zbyt powoli i nie dają się naginać do celów polityki gospodarczej.

Niewątpliwie poprawa sytuacji gospodarczej w krajach przemysłowych i redukcja potwornych wprost cyfr bezrobocia odbiłaby się korzystnie na wielkości spożycia, trzeba sobie jednak powiedzieć, że nawet taka poprawa nie zdołałaby wywołać jakiegoś zasadniczego wzrostu konsumcji, któryby zaważył decydująco na cenach. O kryzysie rolnym decyduje kryzys zbożowy, a możliwości silnego zwiększenia konsumcji zbóż są bardzo ograniczone. Co innego np. mięso. Produkt ten jednak odgrywa bez porównania mniejszą rolę. Naogół postawić można tezę, że u ludów naszej cywilizacji znaczniejszy wzrost konsumcji środków spożywczych na głowę ludności nie jest możliwy.

Co innego wśród ludów Wschodu. Pod tym względem Indje, Japonja, Afryka, a przedewszystkiem Chiny ze swą ludnością równą ludności Europy — przedstawiają możliwości zbytu nadzwyczajne. Nie należy zapominać, że w samych Chinach rok rocznie pada kilkaset tysięcy ludzi z wycieńczenia głodowego. W tym więc kierunku pracować może gospodarcza myśl organizacyjna. Niewątpliwie napotka ona wszakże na ogromne trudności, przyczem siła przyzwyczajenia tamtejszych konsumentów do innych artykułów spożywczych odegrać może także niemałą rolę.

Skoro wzrost konsumcji szeregu podstawowych produktów rolnych nie jest możliwy lub jest bardzo trudny do osiągnięcia — jedyną drogą wydaje się praca nad poprawą jakości i nad zróżniczkowaniem produktów. Tego rodzaju proces związać może w wyższym stopniu upodobania konsumenta, poszukującego co raz to innych środków spożywczych, z danym produktem.

Niezależnie od tego otwiera się rozległa dziedzina akcesoryjnych sposobów zużycia zboża: poza karmieniem bydła wchodzi w grę zużytkowanie przy produkcji alkoholu, krochmalu lub wreszcie zużytkowanie jako środków opałowych.

W konkluzji rozważań naszych dochodzimy do wniosku, że pomimo, iż odpowiednia polityka w stosunku do zagadnienia konsumcji może wydać pożyteczne rezultaty, tem nie mniej nie tędy biegnie droga wyjścia z wielkiego przesilenia, jakiemu uległo w tej dziedzinie gospodarstwo światowe.

* * *

Obok zagadnienia zwiększenia konsumcji drugim problemem będzie problem ograniczenia produkcji. Z hasłem tem łączy się wiele nadziei, jako z najskuteczniejszym teoretycznie środkiem zwalczenia kryzysu.

Sprawa godna jest ze wszech miar gruntownego rozpatrzenia. Ze wszystkich przyczyn katastrofalnego spadku cen produktów zbożowych — nadprodukcja stanowi niewątpliwie przyczynę najgłówniejszą. Nadmierna produkcja roczna i gromadzące się coraz większe *stocks*'y muszą zdezorganizować rynek. Z tego też punktu widzenia zagadnienie zmniejszenia wytwórczości jest rzeczywiście zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

W stosunku do pszenicy dokonano w związku z powyższem ciekawego obliczenia. Ustalono mianowicie, że wystarczyłoby zmniejszyć produkcję pszenicy o $7^1/_2$% w ciągu jednego roku, ażeby po chłonąć nagromadzone kolosalne zapasy, wynoszące w roku 1930 dla samych krajów zamorskich przeszło 114 miljonów kw. Uzupełniająca redukcja o $2^1/_4$% z kolei, wystarczyłaby przypuszczalnie do zabezpieczenia na przyszłość przed nadprodukcją.

W rozważaniach nad problemem ograniczenia wytwórczości przyjąć należy za słuszne jedno założenie, które znacznie upraszcza sytuację. Rzecz polega na tem, że względy meteorologiczne lub, konkretnie biorąc, kwestja urodzaju i nieurodzaju w skali światowej nie odgrywają większej roli. Mniejszy urodzaj na jednym kontynencie zrównoważy większy na drugim. Dlatego też ryzyko „sztucznego" zmniejszenia produkcji dla aprowizacji ludności jest minimalne.

Wynika stąd, że kwestja sprowadza się ostatecznie do kwestji wielkości obsiewanego obszaru. Wielkość obszaru może być więc uważana za podstawę programu. W tem miejscu warto wspomnieć, że pod wpływem rozwoju techniki maszynowej areał wzrósł bardzo znacznie. Dla ilustracji przytoczymy następujące dane: areał przenicy wynosił w okresie 1909 — 19 — 109.382.000 ha, w r. 1929 — 125.564.000 ha. Przeszło 90% tego wzrostu przypada na kraje zamorskie, przedewszystkiem na Kanadę (w okresie 1909 — 1929 wzrost o 150% wielkości obsiewanych pszenicą obszarów), Australję (wzrost o 100%) oraz Stany Zjednoczone. Tego rodzaju rozwój nie mógł nie wywołać skutków.

Wracając do zagadnienia ograniczenia produkcji zbożowej w drodze redukcji obsiewanych obszarów — stwierdzamy wszakże z punktu olbrzymie trudności. Trudności te są tak wielkie, iż w rezultacie uzasadniają pogląd, że przeprowadzenie „sztucznej" redukcji wytwórczości, jako środek przezwyciężenia kryzysu rolnego nie da się praktycznie pomyśleć.

Nie wolno nam zapominać, że w przeciwieństwie do przemysłu, gdzie zasada koncentracji produkcji występuje bardzo silnie, dając podstawę pod dalszy rozwój karteli i innych porozumień, rolnictwo charakteryzuje się olbrzymią przewagą drobnych gospodarstw. To rozproszkowanie powoduje faktyczną niemożność redukcji wytwórczości, zarówno w drodze dobrowolnego porozumienia producentów jak i w drodze przymusu państwowego, a to ze względów tak psychologicznych jak i techniczno-administracyjnej natury. Oczywiście są pewne gałęzie produkcji rolnej, które stanowią wyjątek (np. cukier).

Niezależnie od powyższego nasuwa się szereg pytań, na które również nie można znaleźć przeważnie odpowiedzi. Jak mianowicie ustalić podstawę

redukcji? Jak ją wprowadzić w życie? Jak zabezpieczyć jej powszechność? Jak zużytkować odnośne tereny? Przecież do przekształcania charakteru produkcji trzeba kapitałów, których brak. Pozatem jest rzeczą jasną, że musiałoby nastąpić w tej tak niesłychanie trudnej sprawie powszechne międzynarodowe porozumienie — wystarczyłoby bowiem pozostanie poza umowę jednego większego producenta, aby całą akcję unicestwić! Kto rozumie trudności, jakie stoją na drodze do porozumienia w dziedzinie gospodarczej między dwoma państwami (weźmy za podstawę normalny traktat handlowy) — ten oceni należycie małe prawdopodobieństwo wspomnianego powyżej układu międzynarodowego.

Są ekonomiści, którzy przewidują „naturalną“ redukcję wytwórczości, wynikłą z upowszechniania się, pod wpływem kryzysu, gospodarki ekstensywnej, z koniecznej redukcji obszarów obsiewanych oraz ze zmiejszonej wydajności z hektara, spowodowanej chociażby zmiejszeniem użytych nawozów sztucznych, których wielu rolników nie będzie w stanie kupić. Będzie to więc typowy przejaw automatyzmu życia gospodarczego w kierunku równowagi, o czem pisaliśmy na wstępie.

Akcja ograniczania obszarów obsiewanych wydała pewne rezultaty w Stanach Zjednoczonych, gdzie redukcja dosięgnęła wysokości 4%, przy wydatnem poparciu rządu. Tłumaczy się to specjalną strukturą gospodarczą Stanów, które, będąc przedewszystkiem państwem przemysłowem i eksporterem artykułów przemysłowych, mogą sobie pozwolić na odosobnioną akcję planową w zakresie redukcji wytwórczości rolnej.

* * *

Stwierdziwszy, że zarówno hasła zwiększenia konsumcji jak i zmniejszenia produkcji nie mogą być uznane jako realne kierunki dla szybkiej i skutecznej polityki gospodarczej rządów i sfer gospodarczych — zwracamy się z kolei do zagadnienia organizacji rynku światowego. Unormowanie zbytu wydaje się tą dziedziną, w której stosunkowo najwięcej zrobić można dla zapewnienia cenom większej stałości, a rolnictwu trwałej poprawy warunków ekonomicznych. Brak organizacji w tym zakresie zaważył decydująco na rozwoju kryzysu rolnego.

Zagadnienie sprowadza do szeregu kwestyj, z których najważniejszą sprawą jest organizacja rynku wewnętrznego oraz rynków eksportowych i łączący się z nią ściśle problem ograniczenia wzajemnej konkurencji.

Organizacja sprzedaży bardzo silnie rozbudowana jest w przemyśle. Sprzedaż za pośrednictwem specjalnych biur kartelowych w szeregu gałęzi wytwórczości przemysłowej jest nawet regułą. W ten sposób producenci uzyskują konkretny wpływ na ceny, zapobiegając ich zniżkom. W dziedzinie rolnictwa należy to do wyjątków.

Należy oczywiście zdawać sobie dokładnie sprawę z ogromnych trudności w związku z organizacją świata rolniczego. Niemniej proces ten rozwija się systematycznie, jakkolwiek bardzo powoli. „Rzeczywistość kryzysowa“ dodaje powyższym wysiłkom potężnego bódźca.

W rozwoju organizacyjnym zaznaczają się przy tem naturalne jakgdyby etapy.

Pierwszym etapem, bezpośrednim celem — jest idea centralizacji handlu zagranicznego artykułami zbożowemi, i rolnemi wogóle, danego kraju. Uzasadnienie jej wynika z tego, że bez niej nie dadzą się pomyśleć żadne próby ograniczenia konkurencji handlowej (wpływającej, jak wiadomo bardzo silnie na obniżkę cen) na terenie eksportowych rynków zbytu. Pozatem centralizacja stanowi z reguły konieczny warunek dla skutecznych wysiłków w kierunku standardyzacji produktów eksportowych celem podniesienia ich możliwości sprzedażnych zarówno jeśli idzie o cenę jak też o ilość. Sprawa ta przedstawia specjalne znaczenie dla europejskich krajów rolniczych. Oczywiście centralizacja może się realizować w najrozmaitszych formach, od zupełnie luźnych i w postaci czysto „prywatnej” — aż do państwowego monopolu. W rzeczywistości przeważa typ pośredni, w którym z organizacją zasadniczo prywatną eksporterów wiążą się pewne środki, któremi dysponuje państwo, bądź pozytywne, jak np. premje, bądź negatywne, jak np. cła wywozowe, jeśli chodzi o dziedzinę standardyzacji. Jest rzeczą naturalną, że pomoc państwa w pracach nad centralizacją jest dla rolnictwa bardziej niezbędna niż dla przemysłu.

Postęp, dokonany w tym zakresie, jest dość znaczny. Pomijając już, jako wynikający z innych przyczyn, państwowy monopol całego handlu zagranicznego Rosji Sowieckiej — wskazać można na cały szereg przykładów centralizacji. A więc w Kanadzie funkcjonuje słynny „*pool*” pszeniczny, w Stanach Zjednoczonych „*Federal Farm Board*”. Pozatem mamy monopol handlu zagranicznego zbożem w Norwegji, monopol kukurydzowy w Niemczech, uprzywilejowaną spółkę eksportu zboża w Jugosławji, w Bułgarji, specjalną organizację scentralizowaną w Rumunji, Związek eksporterów zboża w Polsce. Prace nad centralizacją prowadzone są we wszystkich krajach rolniczych, a także i w krajach importujących produkty rolne. Wyraźnie przygotowuje się nowy okres w dziedzinie wymiany międzynarodowej.

Jest rzeczą jasną, że centralizacja handlu zagranicznego stanowić może — w zakresie zapobieżenia kryzysowi rolnemu—jedynie pierwszą fazę. Ponieważ o cenach decyduje cena światowa, przeto jedynie powszechne, światowe porozumienie mogłoby na poziomie cen istotnie zaważyć. Porozumienie to musiałoby objąć przytem wszystkie zasadnicze artykuły, w przeciwnym bowiem razie naturalny wzrost wytwórczości „uprzywilejowanego” produktu zniweczyłby oczekiwane skutki układu międzynarodowego.

Idea organizacji zbytu artykułów rolnych i ograniczenia wzajemnej konkurencji (łącznie z wyrzeczeniem się tak zabójczych dla wyższego poziomu cen środków, jak premje wywozowe i *dumping*) — stała się już tematem kilku konferencyj międzynarodowych, zarówno „europejskich” jak i „światowych”. W szczególności wspomnieć należy o zwołanych przez Komisję Studjów Unji Europejskiej Konferencjach Komitetu Zbożowego (w lutym b. r. w Paryżu oraz w czerwcu b. r. w Genewie) oraz o konferencjach zbożowych w Rzymie (w końcu marca b. r.). Pewną działalność przejawił także t. zw. blok agrarny państw środkowej i wschodniej Europy, zorganizowany w luźnej zresztą bardzo formie na zeszłorocznej konferencji rolniczej w Warszawie. Jego dziełem

jest postawienie hasła preferencji celnej dla zboża europejskiego i torowanie uporczywe drogi realizacji tej preferencji. Pozatem zanotować można takie fragmenty bez większego znaczenia jak np. świeżo wygasła umowa żytnia polsko-niemiecka i t. d.

Wszystkie powyższe poczynania międzynarodowe i konferencje nie dały, rzecz prosta, żadnych konkretnych rezultatów, zbyt wielkie bowiem stają tu na drodze trudności. Organizacja zbytu, ograniczenie konkurencji, ustalenie kontyngentów eksportowych — wszystko to są zagadnienia wiążące się najściślej z wielkością krajowej produkcji i z ogólną polityką gospodarczą poszczególnych państw eksportujących. Do tego dołączają się trudności, wynikające z odmiennych interesów poszczególnych państw importujących. W rezultacie mamy obraz bardzo skomplikowany.

Dla krajów europejskich specjalne znaczenie przedstawia problem preferencji celnej dla zboża europejskiego. Sprawa wygląda charakterystycznie na tle statystyki. Okazuje się bowiem, że eksport „Europy do Europy" waha się od 8—15% europejskiego przywozu produktów rolnych. W tych warunkach zdawałoby się, że pewne uprzywilejowanie celne rolniczych krajów europejskich nie będzie rzeczą niemożliwą do przeprowadzenia. Tymczasem na skutek oporu krajów zamorskich sprawa stoi właściwie, pomimo sukcesów w Genewie, na martwym punkcie. Przykład ten, z nieco innej zresztą dziedziny, przytoczyliśmy dlatego, aby wykazać, jak ogromne trudności napotyka—z natury rzeczy — wszelka myśl gospodarczej koordynacji między państwami. Cóż dopiero powiedzieć o idei tak wiele nasuwającej trudności i zastrzeżeń jak światowe unormowanie eksportu i importu artykułów rolnych.

Tem nie mniej, ze wszystkich środków zaradczych wobec kryzysu rolnego, ta droga wydaje się stosunkowo jeszcze najbardziej realna dla świadomej polityki rządów i czynników prywatnych. Sądzić też można, że, wobec przypuszczalnie długiego okresu trwania ogólnego kryzysu gospodarczego a rolnego w szczególności, pewne wyniki międzynarodowej akcji rolnej zdążą jeszcze — choćby w niewielkim stopniu — zaważyć na szali i przyczynić się, obok „automatycznych czynników naturalnych", do likwidacji tej depresji ekonomicznej, w której okres weszliśmy. Podobny horoskop nie zalicza się, rzecz prosta, do najbardziej optymistycznych. Położenie państw importujących jest w tym względzie stanowczo lepsze, jakkolwiek istnieje i odwrotna strona medalu.

W zakończeniu wspomnieć jeszcze należy o organizacji międzynarodowego kredytu rolnego oraz o próbach międzynarodowej współpracy kooperatyw w myśl powiedzenia że „farmer otrzymuje za małą część dolara konsumenta". Trudno jest wszakże przypisywać tym wysiłkom większą rolę.

* * *

W najbardziej ogólnikowych zarysach przedstawiliśmy najważniejsze sprawy, związane ze światowym kryzysem rolnym. Nie wolno nam wszakże zapominać, że pomimo rozległości tematu, jest to tylko część, w pewnym sensie fragment, całokształtu wielkich zagadnień gospodarczych i wielkich przeobrażeń współczesnych.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

ROZWÓJ KONSTYTUCYJNY ANGLJI

(Dokończenie)

DYNASTJA hanowerska, panująca od r. 1714, początkowo godziła się z iluzorycznością swej władzy. „W Anglji królami są ministrowie", wzdychał Jerzy II. Ale Jerzemu III matka powtarzała wciąż od dzieciństwa: „Jerzy, bądź królem". I Jerzy popróbował. Od pół wieku blisko rządy były w rękach wigów, torysi stanowili mniejszość Izby gmin i nie mogli marzyć o objęciu władzy. Jerzy wskrzesił to stronnictwo, nadając mu specjalny charakter przez wysunięcie na jego przywódców swych osobistych przyjaciół. Nie odznaczali się zdolnościami, ale za to spełniali ślepo rozkazy.

Anglja przeszła w pierwszej połowie jego panowania próbę narzucenia narodowi absolutyzmu. Poparł ją wszelkiemi środkami pieniężnemi, jakie miał do rozporządzenia i jakie mógł stworzyć. Cała prawie lista cywilna szła na przekupstwo, pensje dyplomatów i sędziów, które wówczas z niej płacono, zalegały. Dwór utrzymywał się — trzeba przyznać dość skromnie — na kredyt, to też zostać jego dostawcą znaczyło prędzej czy później zbankrutować. Następnie pensje ministrów i wogóle wysokich urzędników były bardzo wysokie. Płatnik wojsk (nie należący do gabinetu) dostawał w zarząd olbrzymie sumy, od których pobierał procenty aż do otrzymania absolutorjum. Istniała cała masa tytularnych stanowisk dworskich, do których były przywiązane pensje. Nadto tworzono wciąż nowe synekury np. Radę handlową, która prawie wcale nie radziła. Członkowie brali po £ 1000 rocznie. Nie przynosi zaszczytu największemu historykowi angielskiemu Gibbonowi, który jako milczący członek Izby gmin należał do oddanej królowi większości, że był takim radcą handlowym. Hojnie szafował Jerzy i tytułami.

Udało mu się przez długie lata rządzić prawie samowładnie. Kres maskowanemu absolutyzmowi położyła dopiero sromotna klęska w wojnie amerykańskiej. Król wywołał zbrojne starcie rozmyślnie, z jednej strony pragnąc narzucić bezwzględnie swą wolę kolonjom, z drugiej licząc na to, że zwycięstwo za oceanem zjedna mu popularność w masach i pozwoli mu zdławić wszelką opozycję, choćby i przy pomocy powracających pułków. Zawiódł się okropnie, a na ironję tragiczną wygląda fakt, że klęska, od której datuje się zwrot na korzyść amerykanów, była wynikiem karygodnego niedbalstwa jednej z królewskich kreatur w ministerjum wojny. Miały współdziałać dwie armje, ale uświadomiono o tym planie tylko jedną, ponieważ ten, do którego należało wysłanie rozkazów do drugiej, wyjechał na dłuższe polowanie. Wobec tego dzielny jen. Burgoyne musiał kapitulować pod Saratoga.

Już w czasie wojny podjęli wigowie, których duszą, choć nie oficjalnym przywódcą, był Burke,

akcję oszczędnościową i przeparli zniesienie szeregu synekur oraz obcięcie szeregu pensyj. Gdy przyszli chwilowo do władzy, Burke został płatnikiem wojsk — i zaczął oszczędności od siebie, redukując własne dochody do jednej szóstej. Rok 1780 ma pod względem atmosfery moralnej w parlamencie angielskim znaczenie przełomowe. Nie odrazu ustało przekupstwo, ale nigdy już nie przybierało takich rozmiarów, powoli schodziło do sporadycznych wypadków, a z reformą wyborczą r. 1832 znikło zupełnie, aby dopiero za naszej pamięci wrócić w innej formie — w formie koncesyj, interesów giełdowych i t. p.

Reforma wyborcza była dawno rzeczą konieczną i ten fakt właśnie wywoływał przy lada sposobności w drugiej połowie w. XVIII tak groźne rozruchy. Był w powietrzu jakiś niepokój, społeczeństwo czuło, że coś jest nie w porządku, ale przeważnie nie wiedziało: co. Projekt zniesienia paru ustaw antykatolickich i demagogja niezupełnie zapewne normalnego lorda Gordona wydały Londyn na dni kilka w ręce rozjuszonej gawiedzi, a do przywrócenia porządku trzeba było 10 tys. wojska.

Zanim jednak uświadomiono sobie potrzebę reformy, wybuchła wielka wojna z Francją rewolucyjną, później napoleońską. Wobec zewnętrznego niebezpieczeństwa naród przyjął spokojnie nawet czasowe ograniczenie swobód jednostki.

Z okresu tego należy zanotować ogromne pomnożenie liczby członków Izby wyższej. Już od wojny domowej traciła ona coraz bardziej znaczenie. Powstanie gabinetu, opartego na większości Izby gmin, odebrało jej wpływ pozytywny na rządy. O ile jednak różniła się składem od Izby gmin, mogła odrzucać ustawy i stwarzać trudności. Istniało wciąż prawdopodobieństwo zatargu. Trudność tę rozwiązano jednak w pierwszym momencie, w którym stała się aktualna. Wskutek wyniku wyborów w r. 1710 przyszli do władzy torysi, dążący do zakończenia hiszpańskiej wojny sukcesyjnej, w Izbie lordów mieli większość wigowie, temu przeciwni. Wówczas gabinet skorzystał z nieustalonej liczby lordów i skłonił królowę Annę do nowych mianowań. Dwunastu parów, wprowadzonych do Izby, dało pożądaną większość. Przykład ten naśladował odtąd każdy rząd, który natrafił w niej na trudności.

Atoli Pitt Młodszy wprowadził tu świadomą politykę, naśladowaną przez jego następców. Nazywało się to wynagradzaniem zasług, ale właściwie szło o coś innego. Prawda, że zostawali lordami wielcy wojowicy (np. Wellington i Nelson), później dostępowali tego zaszczytu także poeci i uczeni (np. Tennyson i Macaulay). Ale przedewszystkiem był on dla bogatych. Izba wyższa stała się, jak mówi historyk Green, twierdzą nie krwi niebieskiej, lecz własności — a więc elementem wybitnie konserwatywnym. *A la longue* jednak musiała dzięki temu systemowi stracić resztki znaczenia. Skoro uzyskanie tytułu wymaga głównie pewnego majątku, coraz częściej godności dostają się ludziom nieodpowiednim, dzisiaj nawet niekiedy spekulantom z pod ciemnej gwiazdy i z ciemną przeszłością. Mało jest już wśród arystokracji angielskiej starych rodzin normandzkich. Ale i te, które nie wygasły, zmuszone trudnością utrzymania w dobrym stanie dóbr, dokładaniem do gospodarstwa rolnego, a nadewszystko wysokością podatku spadkowego, ratują się małżeństwami, przy których idzie tylko o wysokość posagu. To też normandzcy lordowie dawnych wieków ze zgrozą spoglądaliby na nosy niektórych swoich następców. Wpływ Izby wyższej na losy państwa wcale nie istnieje — zwłaszcza od przegranego przez nią przed samą wojną zatargu z Izbą gmin. Posiedzenia lordów są właściwie tylko malowniczemi, tradycyjnemi widowiskami i trwają niezmiernie krótko.

Praktyka, ustalona przez Pitta, wywołała w ostatnich czasach jeszcze jeden nienormalny i ujemny objaw. Tytuł ma wciąż pewien urok, znaczny zwłaszcza w społeczeństwie angielskiem. Łakną go ludzie majątku, którym zdolny jest otworzyć wiele drzwi, zamkniętych przed nimi na cztery spusty. Wyzyskują tę słabostkę rządy, szafując parostwami w każde urodziny królewskie wzamian za znaczniejsze datki na cele swych stronnictw.

Zwycięstwo nad Napoleonem miało dla Anglji obok skutków dodatnich i ujemne. Postawiło ją w rzędzie państw „św. przymierza", nadając jej polityce zewnętrznej i wewnętrznej piętno reakcyjne. A społeczeństwo, które przez ćwierć wieku myślało tylko o pokonaniu wroga, teraz domagało się reformy. Tłumił te dążenia Castlereagh, używając wojska do rozpędzania zgromadzeń, ale też niezadowolenie rosło. W r. 1820 wykryto spisek na życie całego gabinetu. To też samobójstwo lorda Castlereagh w dwa lata później powitano z ulgą — Byron pisał mu ironiczne nagrobki (np. taki: nareszcie Castlereagh poderżnął sobie gardło. Szkoda, że przedtem zrobił to swej ojczyźnie...). Natychmiast też zmieniono politykę zagraniczną i zaczęto myśleć o reformach. Izba gmin zniosła prawie wszystkie ustawy antykatolickie (1825), w cztery lata później otworzyła katolikom wstęp do swego łona oraz dała im prawo piastowania najwyższych godności — dziś tylko król i lord kanclerz t. j. głowa sądownictwa muszą być anglikanami.

Wigowie wystąpili z projektem nowej ordynacji wyborczej, mocą której 56 *rotten boroughs* straciłoby reprezentację, a ich 143 mandatów podzielonoby między miasta i hrabstwa. Cenzus wyborczy stanowiłoby po miastach posiadanie domu o wartości odpowiadającej £ 10 rocznie, po wsiach mieli otrzymać głos dzierżawcy. *Bill* przepadł w Izbie gmin, ale gabinet rozwiązał ją, a wybory dały większość zwolennikom reformy. Opierała się jeszcze Izba lordów, ale musiała ustąpić. Skrajnie konserwatywny zwycięzca z pod Waterloo tak dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji, że sam nakłonił przeciwników reformy, aby nie jawili się na decydującem posiedzeniu. Tym sposobem w r. 1832 Anglja przestała być republiką szlachecką, a stała się republiką mieszczańską.

I trzeba przyznać, że mieszczaństwo rządziło nią dobrze. Zniesiono teraz nawet handel niewolnikami (na co państwo wydało £ 20,000,000, bo uważano, że nawet w tym wypadku należą się odszkodowania), przywrócono miastom samorząd, którego nie miały od w. XIV, zajęto się oświatą. Właśnie z tego czasu datuje się nadzwyczajne podniesienie się jej poziomu. Analfabetyzm znikał szybko, a choć dużo zrobiła tu inicjatywa prywatna, działało coraz wydatniej i państwo. Kwitły przemysł i handel, rosły, jak na drożdżach, miasta. Rolnictwo zabezpieczały przed konkurencją zagranicy t. zw. ustawy zbożowe z r. 1815 wysokiemi cłami ochronnemi, ale ten środek zanadto ciążył ubogiej ludności i wywołał w latach czterdziestych poważny

ruch, z którym w parze szła akcja t. zw. czartystów (od *charter* — przywilej), domagających się dalszych reform, zwłaszcza nowego rozszerzenia prawa wyborczego. Było to *pendant* do ruchu wolnościowego na kontynencie. W r. 1852 zniesiono wreszcie ustawy zbożowe, wprowadzając zasadę wolnego handlu, która utrzymała się dotąd prawie we wszystkich dziedzinach i długo uchodziła za dogmat angielskiej polityki gospodarczej, dziś jednak jest pod znakiem zapytania.

Akcja „czartystów" nie dała bezpośrednich rezultatów. Dopiero r. 1867 przyniósł nową reformę wyborczą. Prawo głosowania otrzymali w miastach wszyscy, płacący co najmniej £ 4 podatków, lub £ 10 czynszu rocznego za mieszkanie, po hrabstwach dzierżawcy, płacący co najmniej £ 12 czynszu dzierżawnego. Przeniesiono na hrabstwa 25 mandatów miejskich, zwiększając też nieznacznie reprezentację Szkocji i Irlandji. Rzecz charakterystyczna, że reformę tę przeprowadził gabinet konserwatywny. Uzupełniała ona parlament przedstawicielstwem robotników, uboższych rolników i rzemieślników. Razem zyskało udział w rządzie około miljona ludzi. Sławny filozof Mill postawił już wtedy wniosek o udzieleniu prawa głosu kobietom, ale poprawka przepadła 73 głosami przeciw 196. Pojawił się również wniosek o wprowadzenie proporcjonalności, ale został wycofany. Mandat uzyskuje w Anglji ten, kto dostanie największą ilość głosów, choćby nie absolutną.

Znów przyszły doniosłe reformy. Katolicy i skrajni protestanci uzyskali równouprawnienie tam, gdzie go jeszcze nie mieli, mianowicie na uniwersytetach. Zrobiono też nowy krok ku szkole publicznej, tworząc Rady szkolne (*School Boards*), zarządzające funduszem, pochodzącym ze specjalnych podatków; stworzono Radę sanitarną.

Teraz Anglja stała się państwem demokratycznem, zwłaszcza po ważnej ustawie z r. 1872, wprowadzającej tajne głosowanie kartkami. W r. 1876 wprowadzono przymus szkolny. Już nieco wcześniej związki zawodowe (*Trade Unions*) wywalczyły prawo strajku — przedtem był on traktowany jako przestępstwo, zwane spiskiem (*conspiracy*) t. j. związkiem dwóch lub więcej osób na szkodę trzeciej.

Podział okręgów na miejskie i wiejskie stwarzał jeszcze pewną nierówność. Stąd nowa reforma r. 1884. Miasta o ludności niżej 15.000 włączono do hrabstw, miastom poniżej 50,000, mającym po dwóch posłów, odebrano jednego. Tym sposobem tylko 22 miasta i stare uniwersytety zatrzymały po dwa mandaty. Rozszerzenie prawa wyborczego na wszystkich dorosłych mężczyzn zapewniło reprezentację nowym dwu miljonom ludzi.

Jak widzimy rozwój konstytucyjny Anglji od r. 1832 polegał na dopuszczaniu coraz szerszych sfer do udziału w rządzie. Było to sprawiedliwe i do pewnego stopnia pożyteczne — dowodem rozkwit państwa, które wewnętrznie osiągnęło wysoki poziom ogólnej oświaty i wielki rozwój przemysłu oraz handlu, nazewnątrz opanowało $^1/_5$ świata i stało się jego najpotężniejszem imperjum. Ale skutki wypadków historycznych okazują się nieraz dopiero po dłuższym przeciągu czasu. Reforma z r. 1884 różniła się zasadniczo od poprzednich, które obok elementu rozszerzającego miały w sobie zawsze element ścieśniający w formie cenzusu majątkowego. Tu tego drugiego elementu już nie było. Zdaje się, że reforma r. 1884 była już krokiem za daleko. Dzięki niej zaczęła w walkach wyborczych popłacać coraz bardziej demagogja. Wytworzyła się klasa zawodowych polityków. Z czasem życie publiczne opanowały dwie niebezpieczne siły — kapitał i socjalizm. Kapitał, głównie żydowski, pchnął Anglję w rozbójniczą wojnę południowo - afrykańską, po wojnie dyktuje jej ustawicznie politykę proniemiecką i my, Polacy, wiemy o tem dobrze z własnego doświadczenia. Wejście socjalistów do Izby gmin (w większej liczbie po raz pierwszy w r. 1906) zburzyło system dwu partyj i doprowadziło do tego, że niema już trwałej większości, że więc konieczne są kompromisy. Rozproszkowanie sprzyja zawsze łowieniu ryb w mętnej wodzie. Braknie tu miejsca na szczegółowe przedstawianie obecnego stanu rzeczy, poprzestaję więc na tych ogólnych uwagach i wracam do dalszych zmian konstytucyjnych.

Już przed wojną światową wszczął się hałaśliwy ruch sufrażystek, żądających prawa głosu dla kobiet. Obfitował on w epizody komiczne i zdawało się, że nie osiągnie swego celu. Ale podczas wojny kobiety skutecznie zastępowały mężczyzn na wielu stanowiskach w kraju i dobrze pełniły służbę pomocniczą w polu, dowodząc nieraz prawdziwego bohaterstwa. Rozszerzono więc na nie prawo wyborcze. Uchwalono dwa akty, z których pierwszy, bardzo krótki, przytoczę w całości.

„Kobiety nie ma dyskwalifikować płeć ani małżeństwo w wyborze do Izby gmin, w zasiadaniu i głosowaniu jako członek Izby gmin parlamentu".

Drugi akt dawał kobietom czynne prawo wyborcze, ale mieścił znów moment ograniczający, czynił bowiem warunkiem ukończenie lat 30. Nawet przy tem ograniczeniu ilość głosujących wedle tej ordynacji (po raz pierwszy w grudniu 1918 r.) wzrosła z 13 do 20 miljonów. Atoli rok 1929 przyniósł zupełne równouprawnienie, znosząc granicę wieku. I tu brak było momentu ścieśniającego, więc skutek był ujemny. Uzyskały prawo głosu t. zw. *flappers*, podlotki od lat 21 — między niemi bezrobotne dziewczęta, nazywające brany zasiłek *chocolate money* i wielkomiejskie szumowiny płci żeńskiej. Złośliwi twierdzą, że o głosowaniu decydowała nieraz powierzchowność kandydatów, a zebrania przedwyborcze miewały przebieg groteskowy.

A jednak choć wynik wyborów, odbytych na podstawie nowej ordynacji, wyrwał rządy z rąk konserwatystów, partji zapewne najbardziej zdolnej do walczenia z piętrzącemi się trudnościami, miał jedną stronę dodatnią. Przyniósł porażkę liberałom, których liczba tak stopniała, że Anglja zaczęła zbliżać się ku dawnemu ideałowi dwu partyj.

Niestety, w roku bieżącym socjaliści, kurczowo trzymając się władzy, poparli wniosek liberałów, obmyślony przez nich dla poprawienia swych szans na przyszłość. Jest to t. zw. głosowanie alternatywne. Wyborca pisze na kartce dwa nazwiska. O ile pierwszy z wymienionych przez niego kandydatów nie uzyska większości, głos pada na drugiego. Znowu Izba gmin będzie miała trzy mniej więcej równe liczebnie grupy, gdyż

odżyją liberali, partja najbardziej uległa wpływom wielkiego kapitału, który jest nie angielski, lecz międzynarodowy. — Należy zaznaczyć, że przy dyskusji pojawił się wniosek o wprowadzenie proporcjonalności — tej proporcjonalności, która tak prostą drogą wiedzie do rozproszkowania. Został jednak na razie odrzucony. Ale uchwalone przed kilku miesiącami głosowanie alternatywne, choć tak daleko nie dochodzi, zwraca się w tym samym kierunku. Jest to niewątpliwie poprawa na gorsze.

W ostatnich tygodniach toczyła się walka o pozbawienie przedstawicielstwa parlamentarnego posiadających ten przywilej starych uniwersytetów. Toczyła się naturalnie pod hasłem ostatecznego zrównania wszystkich obywateli, lecz w gruncie rzeczy szło o pozbawienie na przyszłość konserwatystów kilku mandatów, które im zwykle przypadały. Atoli wynik był niespodziewany. Wniosek przepadł paru głosami większości. Być może, iż z rozdzielenia się liberałów wyniknie trwały rozłam między nimi, a gdy jedna część pójdzie na prawo, druga na lewo, wróci system dwóch partyj, co byłoby wielkim krokiem na drodze do uzdrowienia parlamentaryzmu angielskiego.

Byłem zmuszony w niniejszym zarysie pominąć cały szereg kwestyj i wypadków o stosunkowo mniejszej doniosłości, np. zmiany składu Izby gmin, związane ze stosunkiem Anglji do Irlandji, która, jak wiadomo, od lat dziesięciu ma dwa własne parlamenty (południowego „Wolnego Państwa“ i północnego Ulsteru). Natomiast zdaje mi się, że warto — jak ów Polak, co rozprawie o słoniu dał tytuł „Słoń a sprawa polska“ — zastanowić się na zakończenie, jakie nauki z dziejów ustroju Anglji płyną dla nas.

Otóż przedewszystkiem wynikałoby z nich, że w pewnych określonych warunkach przynajmniej, reprezentacyjna forma rządu ma wielkie zalety. Okres maskowanego absolutyzmu za Jerzego III był okresem słabości państwa i niepokojów. Wcześniej podobne dążności Stuartów doprowadziły do wielkich wstrząsów wewnętrznych. Tymczasem przewaga parlamentu, wyłaniającego silny rząd, dawała zwykle, mimo nawet wad i skażeń tego parlamentu, dobrobyt wewnętrzny i trjumfy zewnętrzne.

Zwróciłem jednak uwagę na punkt zwrotny, za który uważam reformę r. 1884. Tu koło władzy, rozszerzając się coraz bardziej w masy, przeszło pożądaną granicę. Tu rozpoczęło się zwyrodnienie parlamentaryzmu, tu otworzyło się pole dla demagogji (niekoniecznie zawsze radykalnej). Dobrze skonstruowana ustawa wyborcza powinna mieć dwa pierwiastki — rozszerzający i zacieśniający. Formy ich mogą być różne. U nas w drugiej połowie XVIII w. odebrano prawo głosu szlachcie nieosiadłej t.j. pozbawionej własności, a rozszerzono je (w Konstytucji 3 maja) na mieszczan. Dzisiejsza Polska mogłaby np. odebrać głos analfabetom albo ograniczyć ich prawa, wprowadzając na ich niekorzyść pluralność. Ale to tylko dwa z możliwych rozwiązań, oba dość skrajne, a więc zdolne wywołać w masach poczucie krzywdy. Niewątpliwie pożyteczna byłaby inna wielkość okręgów na zachodzie i na wschodzie.

Jedną z przyczyn niedoskonałego funkcjonowania maszyny państwowej w dzisiejszej Anglji jest niewątpliwie zanik powagi Izby wyższej. Powinniśmy u siebie nie tylko strzec kompetencyj Senatu, ale je i rozszerzyć. Rzecz wątpliwa, czy Izba wyższa powinna powstawać tym sposobem, co niższa, ale nie pora na rozważania na ten temat.

Dzieje konstytucyjne Anglji odznaczają się konsekwentnym rozwojem w kierunku, wytkniętym przez tradycję. I my tradycję własną posiadamy. Takie rzeczy nie dają się zatrzeć. Widzieliśmy w historji angielskiej, że eksperymenty, jak tyranja Cromwella, Jakóba II, Jerzego III były krótkotrwałe i miały złe skutki. Zamiast rozwodzić się nad tem, zacytuję słowa Burke'a:

„Nie mogę pojąć, jak człowiek zdołał wznieść się do takiego stopnia zarozumiałości, aby uważał kraj swój jedynie za białą kartę, na której pisze, co mu się podoba... dążność do zachowania i zdolność do poprawienia rzeczy istniejących, razem wzięte, dają wedle mnie ideał męża stanu“.

A kiedy już raz zacytowałem Burke'a, zostanę przy nim, choć może związek między przedmiotem niniejszego szkicu a dalszemi cytatami jest luźny i tylko pośredni:

„Wielkoduszność jest w polityce często najprawdziwszą mądrością, a wielkie państwo i małe dusze źle zgadzają się z sobą“.

Lepiej mi do przekonania trafia to zdanie wielkiego Anglika, niż wywody na temat, że polityka jest „grą fałszywą“.

Wreszcie powiedział Burke:

„Czemże jest wolność bez mądrości i cnoty?“

Powiedział to w powodzi zbrodni rewolucji francuskiej i miał słuszność. Ale niewola bez mądrości i cnoty jest czemś jeszcze gorszem, jest prawdziwem piekłem na ziemi. I nigdy nie wytwarza niewola mądrości i cnoty, ani u rządzących, ani u niewolników. Swoboda bez swawoli — oto ideał.

Lwów WŁADYSŁAW TARNAWSKI

POLONEZ AS-DUR

(CHOPIN, OP. 53)

Miesiące złote zdobią lanc ich szpice,
Wraca rycerstwo z wiedeńskiej odsieczy.
Rumieńce dumy czerstwe palą lica;
Dobyli mieczy!

To Polska cała od morza do morza,
To narodowej tradycji pomniki,
To jest przyszłości naszej jasna zorza,
Vivant — wrą krzyki!

Marsz, marsz! Wodzowie! To bębny zagrały,
Marsz, marsz! Wodzowie... Krótki błysk zwycięstwa,
Król przy kontuszu — (a wąs ma wspaniały) —
Dał dowód męstwa.

I radość, radość i złote kontusze,
Po białych dworach mazur roześmiany,
Szlachcic je, tańczy, pyszni się i kruszy
I jest pijany...

I patos pyszny, i patos wspaniały,
I duma z tego, że bezrządem stoi,
Że Prusy słabe, a Moskal zuchwały,
Lecz nas się boi!

Umilkły bębny... Ha! Groźne *memento!*
Z północy orły lecą tysiącami,
Czarne ich pióra, w dziobach mają pęta...
...Armaty pod kwiatami...

ZDZISŁAW MORAWSKI

NA WIDOWNI

Tragiczna sprawa — Społeczeństwo polskie z miłością skupia się dokoła swojej armji — Dźwignie moralne wojska: miłość ojczyzny, honor żołnierski, koleżeństwo towarzyszów broni.

SPRAWA b. majora sztabu generalnego, Piotra Demkowskiego, rozstrzelanego dn. 18 b. m. za zbrodnię szpiegostwa, wstrząsnęła aż do podstaw najgłębszych polskiem sumieniem zbiorowem. Odsunęła na plan dalszy nawet powszednie, codzienne troski i biadania „kryzysowe". Ta postawa społeczeństwa jest w tem tragicznem zdarzeniu zjawiskiem niewątpliwie krzepiącem: reaguje się tem silniej, im bardziej sam fakt, stanowiący podnietę, uważa się jako coś godzącego w nas nieoczekiwanie, nie mogącego pomieścić się w świadomości, potwornego. Wielkość wrażenia jest tutaj miarą zaufania narodu w zdrowie moralne swojej armji. Straszne byłoby, gdyby wypadek taki, jak zdradę Demkowskiego, potraktowała opinja publiczna jako wydarzenie nic nie znaczące, pospolite...

Głęboką prawdę głosił bohater - konwertyta, Ernest Psichari, kiedy pisał, że wojsko jest czemś w rodzaju kapłaństwa świeckiego: „Ksiądz nie może wyrzec się żołnierza, ani żołnierz księdza" [1]). Zawody żołnierski i duchowny zespala głęboko sięgające podobieństwo, wymagające od obu gotowości poświęcenia swoich wygód, a nawet życia, żądające wierności bezwzględnej i niezachwianej karności. Właśnie dlatego zdrada, popełniona przez oficera, odczuwana jest przez szerokie rzesze społeczeństwa jak rodzaj świętokradztwa. Niedalekie od prawdy będzie zapewne stwierdzenie, że dla wielu wrażenie wiadomości o zdradzie Demkowskiego było podobne do wstrząsu, jaki przed laty wywołała w katolickiej Polsce nowina o zbrodni Damazego Macocha na Jasnej Górze. Ale jak wówczas tragedja jasnogórska miała jedynie nakłonić wiernych do tem większego zespolenia się ku obronie wystawionego na pociski niechętnych Kościoła, podobnie dzisiaj patrjotyczna opinja polska tem jednomyślniej skupić się powinna dokoła swojej armji, z tem gorętszą gotowością, z tem serdeczniejszem przywiązaniem.

Piotr Demkowski, jak wieść niesie, nie był z pochodzenia Polakiem. Był podobno dzieckiem rodziny białoruskiej, prawosławnej, przez niejaki czas pełnił służbę ochotniczą w armji Denikina. Ojciec jego w dalszym ciągu jest jakoby obywatelem Rosji Sowieckiej. Jasne tedy, że na drodze do zdrady nie napotykał major Demkowski takich potężnych zapór, jakie w duszach nawet najbardziej spodlonych stanowi elementarny, nigdy nie dający się w całości wykorzenić instynkt narodowy, głos krwi, odzywający się niejednokrotnie i wówczas, kiedy już żadne zasady etyczne, żadne przykazania i nauki nie znajdują do sumienia przystępu. Niewątpliwie, przypomnienie tej prostej prawdy jest poważną wskazówką na przyszłość. Niemniej armja nowoczesna, z wykształconemi w ciągu stuleci instytucjami i tradycjami, w samej organizacji swojej wytwarza szereg zapór dodatkowych, co niezależnie od głosu krwi i odruchu instynktu narodowego skutecznie zabezpieczać mogą przynależną do niej jednostkę ludzką przed osunięciem się z drogi obowiązku i prawości.

O tych właśnie zabezpieczeniach moralnych nie od rzeczy jest skreślić kilka luźnych całkiem, w ogólnikową choćby formę ujętych, refleksyj. Najpoważniejszem z nich jest, na sztandarach wojsk naszych na pierwszem miejscu, nawet przed Ojczyzną postawione poczucie żołnierskiego honoru. Nie bez powodu od wieków jest w armjach europejskich utrzymywana zasada, że żołnierz obowiązki swoje, do których został przez przyjęcie w szeregi powołany, potwierdza uroczystem zaprzysiężeniem. Żołnierz polski, w myśl ustawy z dn. 18 lipca 1924 r. o podstawowych obowiązkach i prawach szeregowych Wojska Polskiego (art. 7), składa następującą przysięgę:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, chorągwi wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzedz, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i wogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen".

Zrozumiałe jest, jaką siłę wiążącą posiadać musi przysięga taka dla człowieka religijnego. Ale nawet niewierzący niełatwo zdecyduje się na jej złamanie, zwłaszcza jeżeli w armji istnieje pod tym względem pielęgnowana stale tradycja wierności i honoru, a na jednostkę oddziaływa nieprzerwanie mocna i pewna atmosfera moralna środowiska. Jak nakaz wieczyście obowiązujący, dźwięczą słowa księcia Józefa Poniatowskiego: „Żołnierz nie ma tylko jedno słowo, a poczciwy człowiek jedną przysięgę"... Poczucie honoru żołnierskiego, wierność przysiędze wojskowej sprawiały, iż nawet w okresie armij zawodowych można było ze spokojem zaufać wojskom cudzoziemskim, zaciężnym, że nie zdradzą i wypełnią swój obowiązek do końca, dlatego tylko, ponieważ nakazywała im tak cześć rycerska i szacunek dla swojego sztandaru.

Drugiem zabezpieczeniem jest, zwłaszcza pośród korpusu oficerskiego, w ogromnej mierze kształtujący psychikę jednostki, duch koleżeństwa. Słusznie wskazuje „Regulamin służby wewnetrznej" z dn. 20.II.1924 r. (część I: Podstawowe powinności i prawa żołnierza), iż

„Nic tak nie łączy ludzi, jak wspólne stawienie czoła niebezpieczeństwu, znoszenie trudów wojny, współpraca w oddziale w czasie pokoju. Koleżeństwo, oparte na szacunku, przywiązaniu i trosce o towarzysza broni, stanowi tedy jedną z istotnych cnót żołnierza".

Jedność moralna armji, wynikająca z szacunku wzajemnego i koleżeńskiej szczerości, wytwarza środowisko, w którem nawet niezbyt mocna etycznie inwidualność znaleźć może oparcia, ochraniające ją przed ostatecznem stoczeniem się na dno występku. Nawet człowiek, ulegający w mniejszym lub większym stopniu wpływowi teoryj wywrotowych, często zawaha się przed wyciągnięciem z nich ostatecznych, zbrodniczych konsekwencyj, kiedy uświadomi sobie, że czyn jego byłby jakgdyby mierzeniem w piersi własnych towarzyszów

---

[1]) Ernest Psichari: *„Le voyage du centurion"*, *chap. III.*

broni, kiedy hasłom politycznej agitacji przeciwstawi się żywe poczucie solidarności i braterstwa ludzi, noszących jeden mundur wojskowy i pod jednakim służących sztandarem.

Możnaby dłużej rozwodzić się nad czynnikami, zespalającemi moralnie armję, rozstrzygającemi o jej odporności i zwartości. Po miłości Ojczyzny, poczucie honoru żołnierskiego i jedność koleżeństwa należą niezaprzeczenie do najważniejszych. Kto te węzły wzmacnia, kto dba o ich trwałość, najlepiej służy sile zbrojnej narodu, najpewniej ubezpiecza ją od tragicznych niespodzianek.

JAN REMBIELIŃSKI

NAUKA I LITERATURA

PIOTR JERZY FRASSATI

BYŁ synem senatora włoskiego, potomkiem możnego rodu. Zmarł w 1925 r., jako student politechniki w Turynie. Odtąd religijne organizacje włoskie otaczają szacunkiem jego portrety, widząc w nim już niemal świętego. Wyszedł jego życiorys [1]) i szerzy się entuzjastyczny rozgłos o tym cudownym młodzieńcu, celem wywarcia nacisku na oficjalne sfery kościelne, aby postanowiły proces beatyfikacyjny.

Ma to być wzór studenta-katolika, „święty naszych czasów", nie szalejący w grzechu, a potem łaską nadnaturalną i przemocą własnego ducha udoskonalony, nie asceta, nie mistyk, nie genjusz, ale poprostu młody chłopak dobrze zbudowany, promieniejący bujnem zdrowiem, dość zdolny do nauki, bardzo porządny i nabożny, więc jeśli podobny do setek rówieśników — tem bliższy im właśnie i silniej, jako wzór — pociągający.

Niepomiernie wielkie zainteresowanie, jakie wzbudził P. J. Frassati w świecie katolickim, jest jednym z wielu dowodów, że wzrasta praktyczne i naukowe zajęcie się sprawami religji. Sztuka, krytyka artystyczna i nauka coraz więcej przejmują się zagadnieniami doktryny, moralności i bohaterstwa religijnego.

*

Świętość jest zjawiskiem z pogranicza Stwórcy i natury. Jaka jest rola świętych wobec reszty ludzi — kwestja ta nie może być postawiona wyczerpująco, nawet ogólnikowo. Spełniają oni: 1) zadanie — że tak pewiem — metafizyczne, t. j pośredniczą między Bogiem a ziemią, zdobywają łaskę Stwórcy dla świata, pobudzani do tego modlitwami wiernych; 2) spełniają zadanie „polityczne", oddziaływają na ludzi przez to, co za życia swego zrobili; 3) odgrywają rolę wzoru etycznego. Rzeczą specjalistów kościelnych jest ustalić mistyczny i cudowny związek świętego z Bogiem, rzeczą biografji i historji jest określić jego czysto ziemską działalność, — a na podstawie pierwszych i drugich badań, według moralnych ocen konstruuje się wizerunek duchowy świętego, podając go jako dobry przykład życia dla wszystkich czasów i ludzi.

„Metafizyczna" rola świętego spełnia się niemal niezależnie od stosunku do niej rozumu ludzkiego, który zresztą bez objawienia ewangelicznego i oświecania, zdany tylko na łaskę i niełaskę empirji i schematy logiczne — nic stanowczego w tej sprawie powiedziećby nie mógł. Ostatecznie jest to przedmiot dla specjalistów i „wtajemniczonych".

Osobista, „polityczna" działalność świętego na ziemi spełniła się wraz z jego śmiercią; trwają tylko jej skutki, z których najważniejszym jest historyczny wizerunek jego duszy, występujący w autorytecie oficjalnie uznanej świętości jako pewien wzór moralny, pewien etap w drodze do Boga.

*

Najlepiej wychowawczo oddziaływa na ludzi obraz człowieka. Zwierzę, czy np. maszyna — mogą mieć także „zalety", „cnoty", które poetycką drogą uosobienia czy animizacji możemy wskazać ludziom, jako wzorowe. Dlaczego jednak wolimy wybitnego człowieka w roli swoistego, w pewnym zakresie ideału? Dlatego, że zjawisko, uznane za wzorowe, musi spełniać pewne warunki, aby wychowawczo oddziaływać: 1) Musi być jaknajbardziej pokrewne psychice i życiu człowieka, 2) Musi odbiegać daleko ku doskonałości od przeciętnej, „szarej" psychiki (ale w widoczny sposób w zakresie możliwości ludzkich), t. zn. mieć jaknajwięcej cech bohaterstwa, czy świętości. Innemi słowy i do rzeczy: święty, jako wzór moralny — najlepiej, jeśli jest najbardziej ludzki i najbardziej nadludzki. Ideałem jego — jak i każdego człowieka jest oczywiście Chrystus; ale wychowawcza rola wizerunku świętego jest niejako inna; można ją ogólnikowo określić, jako ułatwianie porozumienia człowieka z Chrystusem. Święty okazuje, co każdy może zrobić na drodze ideału.

*

Aktor na scenie zwykle wyolbrzymia, poniekąd karykaturuje gest, nietylko, żeby go zewsząd widziano i słyszano, ale żeby wywrzeć sugestję wyjątkową potęgą przeżycia. Widownia, zbiornik zazwyczaj przeciętniaków i średniaków — wstrząsa się na widok porywającej lub przytłaczającej siły i skali życia. Wzruszyć kogoś — to doniosły warunek wywarcia wychowawczego wpływu.

W obliczu wielkich ekspjacji, olbrzymich wysiłków ducha od zbrodni aż do wyżyn świętości — łatwiej zrozumieć swoje drobne podłostki i nikczemności, i jeśli nie można górniej, podążyć choćby na pagórek minimalnej cnoty.

Nie tak trudno w tym czy innym okresie życia mieć grzech ciężki. Grzeszniśmy wszyscy — i to, obok zamiłowań do sensacji sprawia, że największe wrażenie robią na nas ludzie, poprostu szalejący w grzechu, a potem dopiero Chrystusowi i święci. Ci najwymowniej uczą nas walczyć z szatanem. Jest dowodem dużej niedoskonałości natury ludzkiej, że za typ, za pełnię życia uważamy wielkie przemiany psychiczne, że tacy przeistoczeni święci są dla nas ogromnie „żywi".

*

Istotą nauki, jaką daje nam przykład świętych — to rozstrzyganie kwestji — w jaki sposób duszę ludzką uwolnić od skutków grzechu pierworodnego i skrępowania przez inne grzechy, uczynić ją rozumną i dobrą, znaczy zdeterminowaną tylko odgadnionemi życzeniami Boga.

Cel dążeń, który powinien kształtować ludzkie postępowanie, jest ogólnie określony w teologji i dogmatyce przez Pismo św. Wynika on z natury Bóstwa i jego stosunku do świata, jest więc niezmienny, powszedni i wieczny.

Świętość, jako osobiste w pewnej mierze zrozumienie i zastosowanie tego celu — ma pewne znamiona wieczne.

Co jest przemijające, zniszczalne — może być cechą świętego, ale nie może być cechą świętości.

*

O zasługach religijnych i wartości P. J. Frassatiego jest mocen wydać wyrok tylko formalny proces beatyfikacyjny czy kanonizacyjny, czy też wogóle jakaś powołana do tego instytucja kościelna.

Nie można się atoli zgodzić z pewnemi akcentami i komentarzami, które daje lub przytacza Dr. A. C. w życiorysie tego młodzieńca.

„Aż do ostatniego tchu Piotr Jerzy był złączony z demokracją chrześcijańską" [1])... „Gorliwa pobożność skierowała go do pracy i walki, dążącej ku zwycięstwu demokracji chrześcijańskiej [2])... Tak o Frassatim mówił pewien adwokat

---

[1]) Dr. A. Cojazzi „Piotr Jerzy Frassati", przekład polski, Kraków, 1930.

[1]) „P. J. Fr.", str. 278.
[2]) „P. J. Fr.", str. 279.

włoski na zebraniu członków partji ludowej „Popolari“ (31, VII, 1925 r.).

Ani z doktryny katolickiej, ani z ustroju Kościoła nie wynika „demokracja“, czy zresztą jakakolwiek określona forma organizacji politycznej. Zatem popierwsze — przymiotnik „chrześcijański“ jest w tem połączeniu nieistotny, oznacza bowiem tylko religję i etykę, jaką zwolennicy demokracji winni wyznawać — a podrugie „gorliwa pobożność“ wcale nie musi kierować do demokratycznego ustroju. Pobożność, tak, jak i świętość, tworzy się z religijnego kontaktu człowieka z Bogiem, ma zatem cechy wieczne. A demokracja nie jest niepożyta. Cóżby to była za religja, gdyby jej dobre wyznawanie prowadziło w różnych okresach i państwach do feudalizmu, monarchji absolutnej czy konstytucyjnej, oligarchji, demokracji, dyktatury? „Gorliwa pobożność“ nie prowadzi do służby przeżywającym się ideom, ma inne, ważniejsze cele.

TADEUSZ DWORAK

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znacząc druk literami M. G. K. K., utajony pod niemi autor (z tekstu łatwo odgadnąć, kto) wydał pamiątkę swego serca pt. „Z mego dzienniczka. Pogawędki z narzeczoną“. (Warsz. 1931, s. 37). Właśnie, że książeczka jest tak bardzo drobna i bez żadnej dla kogokolwiek obcego znaczącej treści, wnosimy, jak wielką dla autora ma wagę, skoro rzecz wydał drukiem. Djalogi są bardzo zabawne ze względu, że prowadzi je z wesołą panienką (jak sama się nazywa: frygą) bardzo stateczny filolog, który rozkochaną narzeczoną sekuje, jak na egzaminie, logiką i historją literatury. Tem więcej współczucia mamy dla niego, że ten promyk, zabłąkany do jego serca, zgasł, aby po latach wskrzesnąć — w drobnym druku. Dramat bibljofila! (Z)

*

O wydanej świeżo przez Tow. Wyd. „Patria“ książce Stefana Godlewskiego: „Warszawa“ pisze w „Kurjerze Warszawskim“ z 16 lipca Adam Grzymała-Siedlecki:

„Ten sen nocy warszawskiej p. Godlewskiego uważam za jedno z najmisterniejszych zjawisk naszej ostatnich lat produkcji literackiej.

I język! Niewielu z młodych pisarzy pisze taką niepokalaną polszczyzną. Każde zdanie ponadto ma swoją wagę, żadnego opuścić nie można, żadnej pustej frazy. Nieustanna troska o dobór wyrazu, któryby najwierniej, a niebanalnie, z maksymalnym wdziękiem oddał zamierzoną myśl. A jaki prawdziwie poetycki bieg porównań, przenośni, obrazów! Radość zbiera, że jeszcze u nas pisuje się taką mową“. (Z)

*

Ostatni zeszyt „Przeglądu Powszechnego“ (lipiec — sierpień) obfituje w artykuły z dziedziny literatury. Ilość ich niezwykła i treść bardzo interesująca. Prof. Tadeusz Grabowski z Poznania w pięknym szkicu „Nowe drogi badania literatury“ zaznajamia nas z najnowszemi na szerokim świecie metodami nauki o literaturze. W nazbyt może zwięzłym przeglądzie zdał sprawę z tych zadań, jakie sobie stawiają uczeni badacze kształtów literackich, przeważnie niemieccy. W zeszycie tym Stefan Kołaczkowski rozpoczął doskonałe studjum „Osobowość i postawa poetycka Fredry“. Kołaczkowski zastanawia się nad tem, dlaczego Fredro jest nam dzisiaj tak bliski, dlaczego jest bliższy niż Żeromski. Zagadnienie bardzo ciekawe i ważne. Potem dwie kobiety referują: M. Dunajówna „Monografję psychologiczną prof. Windakiewicza“ (o Kochanowskim), a Z. Ciechanowska J. Ujejskiego „Dzieje polskiego mesjanizmu“ i Pigonia „Do źródeł Dziadów“ oraz Sienkiewiczjanę najnowszą. Do krytyki literackiej zaliczyć należy recenzję J. Feldmana o dziele Michała Bobrzyńskiego (t. III Dziejów). Znakomite studjum K. L. Konińskiego (część I) o kulturze ludowej (w odróżnieniu od kultury ludu) przykuje uwagę każdego, kto się zastanawiał kiedykolwiek na tym ważnym tematem. Bardzo ciekawa jest praca historyczna M. Gumowskiego o „Djable Weneckim“ z pod Żnina. Poza tem wiele jest w tym zeszycie cennego materjału. (Z)

*

Gebethnerowsko-ossolińskie wydanie pism Sienkiewicza rzeczywiście już „ruszyło z kopyta“. Świeżo ukazał się tom IV Nowel (ogólnego zbioru tom XXXVI) obejmujący „Sielankę“, „Szkice węglem“, „Przez stepy“, „Janka muzykanta“ (nie tego, którego niedawno spartolono w banalnym filmie!) i „Pamiętnik poznańskiego nauczyciela“ (wraz z odmienną redakcją — ongi niecenzuralną!). Całość dobrze się przedstawia, tylko gdzieniegdzie powtórzono zecerskie błędy pierwodruków (np. pieśń szkocką Bonnie Dundee — ulubioną pieśń Rudyarda Kiplinga — przerobiono na Bonia Dundee); ale z korektą miewał wiele strapień Sienkiewicz już za życia i nieraz na nią dosadnie utyskiwał w swych listach. *A propos:* listów Sienkiewiczowskich: niedawnemi czasy wyłoniła się myśl, by zebrać ich antologję i ułożyć z nich jakby „*Paradigma vitae*“ wielkiego pisarza. Pomysłowi temu przyklasnąć należy najgoręcej nietylko dlatego, że większość listów prywatnych Sienkiewicza to arcydzieła, nie ustępujące listom Słowackiego, ba, różnorodniejsze od nich i skalą nastrojów i tematem, — ale i dlatego, że raz wreszcie należałoby zmknąć buzię różnym dzisiejszym gryzipiórkom, którzy niedoceniają zarówno genjuszu wielkiego pisarza jako też jego rozumu i serca; z listów właśnie — kto je zna — dowiedzieć się i zrozumieć można, jak wielkim, jak wszechstronnym człowiekiem był Sienkiewicz. (J. B.).

*

Forma sonetu — tak u nas popularna od czasów Mickiewicza — na pewien czas doznała banicji, wkrótce po wojnie, gdy zaczęto posukiwać nowych zasad wierszowania. Od lat kilku jednak znów powróciła do praw obywatelskich, gdy pojawiły się nowe zbiorki sonetów, takich np. jak „Sonety instrumentalne“ Hulewicza czy „Logos“ Langego. Na gruncie polskim — jako rodzaj niemal że specyficzny — rozwinął się szczególnie sonet opisowy, którego wzory, niedościgłe dotąd, dali Mickiewicz i Asnyk. W Mickiewiczowskim sonecie do „domowej rzeki Niemna“ źródło swe znalazł „sonetowy regjonalizm“, który uprawiało wielu poetów, np. Syrokomla („Sonety nieświeskie“) i J. A. Gałuszka (sonety krakowskie). Dziś na drogę tę wstąpił tłumacz poetów angielskich, Stanisław Helsztyński, ogłaszając cykl sonetów, poświęconych swemu rodzinnemu miastu, wielkopolskiemu Gostyniowi. Zbiór ten p. t. „Gostyń w pieśni“ (wyd. nakł. „Kroniki gostyńskiej“) omawia i refleksją obejmuje różne zabytki tego starożytnego miasta (fara, kościół Oratorjanów, Matka Boska cudowna) lub postaci wybitnych mężów, rodem z okolic Gostynia; na ich czele stoi postać płodnego poety XVI w., Kacpra Miaskowskiego, po nim wspomnieni są inni, jak poeta Fr. Morawski, jak powstańcy i patrjoci, jak Mycielski, jen. Umiński, ks. Prusinowski, Kasper Klupś. Ponieważ wiele aluzyj i zwrotów w tekście ma charakter czysto lokalny, więc autor opatrzył zbiorek obszernemi przypisami, dającemi w sumie zwięzłą historję Gostynia i jego okolic. (J. B.).

*

W ciętej odprawie, danej krytykom i recensentom warszawskim, śmiało przyznawał się Mickiewicz, że „nietylko nie wstydzi się prowincjonalizmów, ale nawet umyślnie wprowadza“ je do swych utworów. Że mowa Mickiewicza odniosła stanowcze zwycięstwo nad „poprawną“ mową „klasyków“ warszawskich, sprawiła to nietylko wielkość genjuszu poety, ale też sama żywotność i barwność owych „prowincjonalizmów“ które dziś weszły do skarbca powszechnej polszczyzny i dla nikogo już nie stanowią kamienia obrazy! Ostatniemi czasy młodsi i starsi uczeni wileńscy żywo zajęli się naukowym badaniem języka swych stron ojczystych, który jest odroślą dawnej — jeszcze z jagiellońskich czasów — polszczyzny i żywotnością swą świadczy niezbicie o zwartości i sile elementu polskiego w Wileńszczyźnie. Właśnie niedawno nakładem wileńskiego koła Studentów - Polonistów, ukazała się praca Haliny Turskiej p. t. „Język Jana Chodźki, przyczynek do historji języka polskiego na obszarze północno-wschodnim Rzeczypospolitej“. Praca ta (powstała w seminarjum prof. Obrębskiego) dzieli się na dwie części; pierwsza z nich podaje życiorys i bibljografję dzieł Jana Chodźki, wybitnego obywatela-patrjoty, członka honorowego uniw. wileńskiego i czynnego członka Tow. Szubrawców; w drugiej części — językowej — znajdujemy pracowicie zebrany materjał, według cech fonetycznych, morfologicznych i składniowych oraz dokładny słownik. Podczas czytania tego słownika raz po raz pyzypomina się nam jekieś wyrażenie analogiczne z ballad Mickiewicza, a częściej jeszcze z jego listów; zwrócić jednak należy uwagę, że nie wszystkie wyrazy tu spotykane, pochodzą z gwary woj. wileńskiego — Chodźko bowiem wzorował się na języku pisarzy stanisławowskich. Wyraz „ambaje“ mógł znaleźć u Zabłockiego, a „archandryję“ u Trembeckiego. (J. B.)

*

Wychodzące od niedawna czasopismo miesięczne „Dźwięk“ poświęcone „muzyce mechanicznej radju — filmowi dźwiękowemu“ przynosi w ostatnich numerach ciekawe artykuliki na temat nauczania języków obcych. W artykule „Płyta w nauce jęz. nowożytnych, omawia Fr. Piątek

swe doświadczenia i uwagi związane ze stosowaniem płyt gramofonowych na lekcjach jęz. niemieckiego. Początkowo próby Fr. Piątka wydały słabe rezultaty, bo płyty były nieszczególne. Płyta nowoczesna, elektrycznie nagrana, stanowi ogromny postęp i pozwala wykorzystać ją do rzeczywistej nauki metodą dotąd niepraktykowaną, metodą słuchową. W Polsce podjęto podobno już próby opracowania szeregu płyt, dostosowanych do podręcznika Jakóbca (niem.) i Szaroty (franc.). Następnie omawia dr. Piątek kilka zagranicznych wydawnictw płyt oraz dwojaki sposób stosowania tychże (analit. i syntet.). Prof. Cybulski daje bardzo ciekawy przykład stosowania płyt gramof. przy nauce języka łacińskiego w związku z V księgą metamorfoz Owidjusza... Nie mniej ciekawe są dwie dłuższe notatki „O filmie dźwiękowym jako nauczycielu" i „Radjo w szkole". (A. J.).

*

Ruchliwa księgarnia nakładowa *„Eos"* wydająca teksty francuskie do nauki szkolnej *(collectionde classiques français)* wydaje niemal co miesiąc nowy tomik tekstów, wzbogacając tem samem szczupły zasób tekstów francuskich i wypierając teksty zagranicznych wydawnictw, częstokroć wątpliwej wartości. I tak wydano w ostatnim czasie 3 tomiki Molière'a *(L'Avare — Le Misanthrope — Les Femmes savantes)* Corneille'a: *Polyeucte*, Racine'a. *Athalie*, Voltaire'a: *Histoire de Charles XII* i antologję wierszy lirycznych V. Hugo. Oto obfity plon kilka miesięcy ostatnich. Teksty wydane są niezwykle starannie, komentarze znanych i cenionych romanistów wyczerpujące. Szczególnie dobre są komentarze prof. dr Kielskiego, prof. Omer-Neven *(Choix de lyriques)* i p. Semila *(Athalie)*, uwzględniające w szerokim stopniu przygotowanie młodzieży oraz literaturę polską jako materjał porównawczy. Z uznaniem powitać należy szersze uwzględnienie wieku XVIII i XIX w następnych tomach, które się w najbliższym czasie pojawić mają. (A J).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Emile Henriot, znany pisarz, który za swe obyczajowe studjum *„Aricie Brun ou les vertus bourgeoises"* otrzymał nagrodę powieściową Akademji francuskiej, publikuje obecnie u Plona ciekawą książkę p. t. *„Les occasions perdues"*. Autor wykazuje w niej niezmiernie silny zmysł obserwacyjny i znajomość psychologji. Powieść jego odtwarza obyczaje i środowiska pewne literackie z przed 1914 r. Bohaterem powieści jest Claude Chenneval, pełen optymizmu, marzący o zdobyciu sławy i miłości. Rozpoczyna od tej pierwszej, ale już po pierwszych kontaktach z przedstawicielami literatury Chenneval odniesie duże rozczarowania. Wówczas rozpoczyna swą karjerę przygód miłosnych, jaka może wzbogaci jego doświadczenia poetyckie. Nie przyczyni się do tego wielce ani Denise, ani pani Mantegna, ani nawet Jeanne Helyesse. Pierwsze jego prawdziwe zetknięcie się z głębokiem uczuciem nastąpi z poznaniem Teresy Aubier. Rozwiedziona ta młoda kobieta ma już sama poważne i bolesne doświadczenie życia. Po krótkotrwałem szczęściu, Teresa nietylko cierpi z powodu swoich teściowych, ale i z powodu własnego męża. Idylla pomiędzy nimi szybko się skończyła; stał się on bowiem wobec swej żony brutalny i zazdrosny o swego... brata Michała. Pomiędzy tym ostatnim zaś a Teresą nawiązała się żywa sympatja i przyjaźń. I oto gdy pewnego dnia, w dość podejrzanym wypadku na polowaniu, Michał zostanie zabity, Teresa opuści też dom i schroni się do swego ojca. Syn jej jednak pozostanie zrazu przy mężu i dopiero po śmierci tego ostatniego zamieszka przy matce. Teresa jest wówczas kochanką Claude Chenneval. I oto powstaje konflikt pomiędzy jej uczuciem kobiety, a uczuciem matki. Zwycięży to ostatnie. W tym czasie wybucha wojna. Chenneval jako żołnierz raz jeszcze zobaczy Teresę, ale już zupełnie zmienioną, w roli matki i to matki zbolałej, ponieważ syn jej, w którym z całą siłą odżyły wszelkie złe instynkty ojcowskie, popełni pewne przestępstwo. Claude Chenneval, bardziej niż kiedykolwiek zniechęcony do życia, zdaje sobie dopiero wówczas jasno sprawę, jaka przepaść dzieli nasze marzenia i pragnienia od smutnej rzeczywistości, ile rozczarowań gotuje nam życie we wszystkich jego przejawach. Autor przeciwstawia wreszcie w swej powieści dwie generacje — przed i powojenną — t. j. tę, która cierpiała, aby młodemu pokoleniu zapewnić pokój. Nieszczęście chce, iż wszystko wskazuje na to, że jej poświęcenie nie odniesie oczekiwanego rezultatu. (I. B.)

*

P. Luc Durtain ze swoich podróży do Ameryki odniósł wiele ciekawych i bogatych wrażeń, jakim dał wyraz zarówno *„Quarantième étage"* jak i w *„Hollywood dépassé"*, a teraz wreszcie w *„Captain O. K"* Powiedzmy odrazu, iż „O. K;" w skróconym języku oznacza pierwsze litery *„okay"*, powiedzenia indyjskiego, a jakie po amerykańsku tłumaczy się na *„all correct"*. Ponieważ zaś to powiedzenie jest ciągle w Ameryce używane, przeto autor mianem tem ochrzcił swego bohatera murzyna, sprawującego funkcje tragarza przy Pullmanie „Piękna zaś panna służąca, Anna" z powodu jego czapki daje mu miano *„captain"*. Oto etymologja nazwiska sentymentalnego murzyna, który występując w obronie swej ukochanej, podejrzanej o złodziejstwo, wyprawi na tamten świat istotnego złodzieja i jego wspólniczkę. Ponieważ zaś Annie jest mu niewierną, przeto *„Captain O. K."* szuka sukcesów teatralnych jako śpiewak i wygrywa smętne melodje na „banjo". W krótkich słowach trudno streścić tę książkę, pełną nadzwyczajnie barwnych opisów, poświęconych murzyńskiemu światu i jego obyczajom. Istotną bowiem treścią książki jest konflikt, istniejący pomiędzy Amerykanami południowymi, a czarnymi ludźmi, co autor odtwarza w sposób niezmiernie żywy, nie kryjąc zresztą swych sympatyj dla tych ostatnich. Przesuwa się też przed oczami czytelnika cała galerja czekoladowych typów, naiwnie-okrutnych, szoferów, bokserów a wreszcie nadzwyczajna sylwetka Dan Lévy, żyda murzyna. Styl autora obfituje w obrazy barwne, ale jest może zbytnio przeładowany porównaniami. (I. B.)

*

André Demaison po spędzeniu kilkunastu lat w kolonjach osiadł w pobliżu Paryża. W tej zacisznej „podmiejskiej prowincji" przeżywa on obecnie swe niesłychanie bogate wspomnienia, gdyż przenosi je na... papier. I tak kolejno wydał *„Diato, Les bêtes qu'on apelle sauvages"* a obecnie *„La comédie animale"*, *(grasset édit.)*. Nie potrzeba chyba dodawać, iż wszędzie bohaterami są prawie wyłącznie zwierzęta. André Demaison zaś zna ich „psychologję" równie dobrze jak psychologję murzynów, z którymi tak blisko obcował. „W *Comédie animale*" poznamy też niezmiernie wielką inteligencję i wrażliwość Julot, a Julot to poprostu szympans. Nie rozstaje się on ze swoim panem, je z nim przy stole, zasiada przy biurku, stanowi pozatem jedyną jego rozrywkę w tych odległych afrykańskich plantacjach. Ale oto wróżbiarz jakiś murzyński podburza wieś całą przeciwko Julot; jemu przypisuje się wszystkie nieszczęścia i niepowodzenia. Z tygodnia na tydzień nienawiść do małpy wzrasta. Julot zaś nieświadomy, że jest przyczyną formalnej koalicji murzyńskiej przeciwko jego panu, wykonuje zawsze te same śmieszne ruchy, spacerując w prawdziwem ubraniu, czapce, a nawet butach. I André Demaison tłumaczy, że każde plemię murzyńskie posiada swoje zwierzę opiekuńcze, zwane „tanna", żadne jednak za opiekuna nie ma małpy! To też wreszcie konflikt pomiędzy wsią a Julot, a właściwie jego właścicielem, tak się zaostrzy, że ten ostatni będzie zmuszony zabrać szympansa ze sobą i wywieść go — o ironjo — samochodem w głąb lasu, by tam zdać go, na łaskę czy niełaskę losu. Julot nie odnajdzie swoich małpich krewnych, pozostawiono mu zresztą jego ubranie, więc może nie posiada i równie zwinnych ruchów. Stanie się też ofiarą pantery. Oto dramat murzyńsko-zwierzęcego świata, jaki autor odtworzył w sposób niezmiernie prosty, uwydatniając specjalnie fakt, jak przesądy czarnych ludzi komplikują egzystencję białych mieszkańców afrykańskich plantacji. Książka to niezawodnie ciekawsza od wielu klasycznych powieści, jakkolwiek pozbawiona intrygi miłosnej: czyta się ją też z najwyższem zainteresowaniem, bo dzięki ogromnej znajomości środowiska, jaką wykazuje André Demaison, i sam czytelnik ma złudzenie, iż przeniknął pewne tajniki czarnego kontynentu. (I. B.)

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW DOBRZYCKI

W POZNANIU zmarł profesor historji literatury polskiej uniwersytetu miejscowego śp. Stanisław Dobrzycki.

W r. 1927 wyszła Dobrzyckiego „Historja literatury polskiej", jako tom I, zawierający dzieje do końca XVIII wieku.

Rzecz tę pisał Dobrzycki dla cudzoziemców (do encyklopedji polskiej, wydawanej w Szwajcarji), więc dla lepszego wyjaśnienia znaczenia literatury rozwinął szeroko tło historyczno-polityczne, ekonomiczne i religijne. Wypadło to z korzyścią i dla wydawnictwa polskiego, w innych bowiem podręcznikach polskich daje się odczuć brak tego tła i rozumienia związku, jaki zachodzi między życiem a literaturą,

Dzieje tej księgi są jednocześnie dziejami samego autora. Zaczął w młodym wieku od katedry literatur słowiańskich we Fryburgu szwajcarskim. Okoliczność ta rozstrzeliła jego studja na rozległe pola przyległe do literatury. Był jednocześnie i historykiem i filologiem i lingwistą. Istnieją więc prace jego o gwarze ludu polskiego, pisze po niemiecku o Kościuszce, ponieniecku również „Duch literatury polskiej". Interesują go rzeczy najnowsze, czego dał dowód w rozprawie „Koloniści niemieccy w Chłopach Reymonta". Specjalnością jego stały się studja nad polskiem piśmiennictwem od „Najdawniejszych kolend polskich" aż do Krasińskiego.

Studja jego były sumienne, wykład jasny, polszczyzna wzorowa. Ceniony był za prawość i solidność. Był dziekanem i rektorem uniw. Poznańskiego, członkiem kor. Akademji Umiejętności.

Zmarł po długiej chorobie w 56-ym roku życia.

NOWE KSIĄŻKI

Ossendowski F. Antoni. Zwierzyniec. Z ilustr. T. Rojana. Poznań. Wyd. Pol. R. Wegner.

Well (J. Kiewnarska). Dobre wychowanie na codzień. Poznań. Wyd. Pol. R. Wegner.

Brzozowski Stan. Fedor Dostojewskij (Iz głubiny russkaho ducha). Poema... Perewod z polskaho i wstupit. statja D. D. Bohana. Wilno 1930. „Nasza Zizń". Str. 29.

Galicz Jan dr. Przewodnik po Beskidzie śląskim i Śląsku Cieszyńskim. 51 ilustr., plan Cieszyna i mapa turyst. Cieszyn (1931). Oddział Pol. Tow. Tatrz. (w oprawie, w księg. cena zł. 5,50)

Chałasiński Józef. Drogi awansu społecznego robotnika. Studjum oparte na autobiografjach robotników. Poznań (1931) księg. św. Wojciecha. Prace Pol. Instytutu Socjol. Str. VIII i 187.

Czerwiński Teodor ks. Drzewo Krzyża Naprawcy ludzkiego rodzaju. Kielce 1931. S. 61.

Bergel Rajmund. Dramat widmowy w „Weselu" Wyspiańskiego. Myślenice 1931. S. 20.

Ostoja Stan. i Gustaw Bartel. Powiew szczęścia Powieść. Warsz. 1931.

Przychodzki Tad. Droga samotnych. Warsz. 1931.

Belmont Leo. Mojżesz współczesny. Warsz. 1931. Dom Książki Pol.

Borowy Wacław. Od Kochanowskiego do Staffa Antologja liryki polskiej. Lwów. Ossolineum. Str. XL. i 379.

Piasecki Eugenjusz. Zarys teorji wychowania fizycznego I część ogólna. II Część szczegółowa. Lwów Ossolineum. S. X i 390.

Podręcznik dla organizacji kolonji letniej dla dzieci. Warsz. 1930 Związek Pol. Towarzyst Kolonji letnich.

Hołówko Tadeusz. Przez dwa fronty. Ze wspomnień emisarjusza politycznego z 1918 r. Z Warszawy do Kijowa. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej. Str. 276.

Andrzej i Miecz. Karasińscy. Manifest romantyzmu Warsz. 1931. Nakładem autorów. Str. 63.

Almanach fotografiki wileńskiej. Wilno 1931. Wydany staraniem i nakładem Fotoklubu wileń. Księg. św. Wojciecha (z ilustr.)

Bułhak Jan. Fotografika. Zarys fotografji artystycznej. Warsz. 1931. Księg. Trzaska, Evert i Michalski. S. 174 (z ilustr).

Nowakowski Zygm. Geografja serdeczna. Ilustr. Mackiewicza. Warsz. 1931. Gebethner i Wolff.

Makuszynski Kornel. Ze środy na piątek. Ilustr. M. Walentynowicza. Warsz. 1931 Geb. i Wolff.

Miciński Tadeusz. Lucyfer. Pisma pośmiertne. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej. Str. 276.

OFENSYWA

„SYN ZEMSTY"

„NASZ Dziennik", organ najfanatyczniejszego nacjonalizmu, którego charakterystykę, skreśloną ostrem piórem Ant. Słonimskiego, „dosłownie przepisaną" zacytowałem w poprzedniej „Ofensywie", drukuje obecnie powieść Szaloma Asza p. t. „Moskwa". Autor jej jest „obywatelem amerykańskim", mieszka sobie stale w Paryżu, uważa siebie za Paneuropejczyka, jest najskrajniejszym szowinistą żydowskim, rasowcem, równocześnie międzynarodowcem i kosmopolitą z przekonania i zasad.

W ostatnich latach ten pan Asz stał się objektem skrytszych zabiegów i kokieteryj naszych Waletów Sanacyjnych. Poprostu zorganizowano całą akcję, żeby sobie skonwinkować „samego" p. Ascha. Warszawski Pen-Club otrzymał dyrektywę (i fundusz) na to, aby gdy pan Szalom zjawi się w Warszawie, natychmiast urządził dla niego bankiet z mowami. I istotnie, kiedy p. Asch zawitał, uczczono go majonezem i majufesem, pito jego zdrowie, poczem na specjalnych „audjencjach" przyjęli go p. Sławek i p. Świtalski i p. Pieracki. Pan Asz bluffował ich Ameryką, a oni prześcigiwali się w duserach i laurach przed p. Aszem. Poczem obie strony się rozstały z dużem zadowoleniem wzajemnem. Mężowie Stanu z Brygady byli przekonani, że goszcząc Asza i odprowadzając go po schodach do bramy, dokonali ważnej rzeczy *pro publico bono* na benefis mocarstwa, a Asz wyjechał rad i dumny, że Pen-club, pentaki, rząd, ministrowie i podcentralne figury w Polsce jednak się na nim poznały i takie owacje mu wyczyniały. Czy już dostał przy tej okazji order „*Polonia Restituta*" i „Krzyż Walecznych" czy jeszcze nie, to niewiadomo; raczej powinien już dostać; jeżeli nie, to się o to powinien upomnieć.

Cały ten *camouflage* i cała ta komedja zaaranżowane zostały z powodu niesłychanie prościnkowej, prymitywnej i symplistycznej „koncepcji świata" u tych „nowych panów" z Sanacji. Nie trzeba zapominać, że pod względem uświadomienia co do Zachodu ci panowie tkwią jeszcze w stadjum bałkańskiem. Nasłuchali się coś tam może i dużo o Ameryce, dollarach, Wall-Street, Morganie, Mellonie, Vanderlipie i Vanderbildtach, Wahrbrurgach i Schiffach. Nasłuchali się też, że w otoczeniu Wilsona było dużo żydów i że prezydent Hoover przyjmuje w Białym Domu rabinów. Z tego wszystkiego więc, czego się nasłuchali i naczytali, wyrobił się w ich mózgach (mało jeszcze obfałdowanych i zróżniczkowanych) zabawny dogmat, że każdy dolar a każdy żyd amerykański to jedność, że dystrybucja pożyczek dla państw europejskich zależy głównie i wyłącznie od żydów. Ten pogląd suggeruje nam cała prasa żydowska, szantażując i wymuszając w ten sposób coraz większe kohn-cesje. Tymczasem to jest jedno wielkie konwencjonalne kłamstwo. Żydzi z Wallstreet grają jako „*vermittler*'y", „maklery", „*adviser*'y", doradcy, informatorzy, *jobber*'y giełdowe oczywiście pewną rolę, którą możnaby zwaloryzować na 30% wpływów. Za wielkimi biurkami i na złotych stolcach dystrybutorów siedzą atoli częściej: purytanie, kwakrzy, metodyści, menonici i presbyterjanie. Na nielicznych Wahrburgów, Schiffów, Baruchów przypada *upper ten tousand* nawet surowo-religijnych plutokratów, holenderskiego, niemieckiego i angielskiego pochodzenia. Mogliby sobie dygnitarze z partykularza tedy, wzwyż również od niedawna wyłonieni, zapoznać się nieco z odpowiednią literaturą, bardzo zasobną. Nie tańczyliby wtedy tak koło pierwszego lepszego Asza w przekonaniu, że tańczą przed uosobieniem Złotego Cielca. Pan Szalom bowiem, aczkolwiek żydowska *Weltberühmheit*, z żadnymi potentatami finansowymi Dollarici żadnych stosunków ani osobistych ani oficjalnych niema, bo mieć nie może, bo plutokracja nowojorska jest wyjątkowo ekskluzywna i towarzysko choćby najsławniejszych szajgeców do siebie nie dopuszcza. Może Misza Elman czy Chaifec skrzypić na raucie u Mac-Cormicków ale żaden literat i to „*russian*" ze Wsch. Europy dostępu do Pierpont Morgana czy Mellona mieć nie może, a nawet G. Kahn, czy Schwol, czy Schiff, czy Wahrburg przygodnie będą mówić z takim Aszem czy innym Joelsonem o *cocktail*'ach, *talkies*'ach, *girls*'ach i prohibicji, ale nie o tem, czy Polska lub Turcja zasłużyły na pożyczkę lub nie. Może nawet w Grecji być pogrom i właśnie Grecja dostanie pożyczkę. Byłby już czas, żeby nasze Sławki już się w kabałach tych conieco zaczęły orjentować.

Może więc p. Asz znać ze stu żydków prasowych amerykańskich, dwóch wydawców i trzech bankierów z Broux czy z Coney-Island ale o tem, żeby z Mortimerem Schiffem rozmawiał np. o Piłsudskim, to jest wykluczone, a tak się przedstawia globus tym różnym prymitywom z małych dziur galicyjskich, którzy tu w Warszawie porobili błyszczące karjery.

Inna rzecz że nam Asz mógł w gazeciarsko-reporterskich sferach szkodzić, no i że istotnie fatalnie szkodził tak w prasie żargonowej jak i w żydowskiej prasie amerykańskiej, która jego na Polskę swego czasu wściekłe i chuligańskie napaści stale przedrukowywała i na angielskie tłumaczyła.

Podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku Szalom Asz pisał w amerykańskiej *„Jewish Tribune“* o wojsku polskiem tak:

„Jest obowiązkiem sprzymierzeńców, którzy naród ten do życia powołali, oświadczyć polskim panom, że niepodległość i wolność mają swoje granice. Naszym delegatom w Paryżu udało się przekonać rządy świata, że naród polski ze swemi pojęciami o wolności i niepodległości, nie jest zdolny do ochrony mniejszości narodowych, zostających się w jego granicach; a przeto należy roztoczyć nad owemi mniejszościami opiekę Ligi Narodów. Musimy z tego skorzystać. Dopóki jednak Liga nie istnieje, zastępują ją państwa sprzymierzone: Ameryka, Anglja i Francja. Sprzymierzeńcy, którzy pozwolili Polakom pójść wgłąb Rosji, powinni roztoczyć swą opiekę nad żydowską ludnością miast i miasteczek, zajętych przez Polaków. Uczynić to trzeba nie przez komisje, zjeżdżające już po dokonanym pogromie, lecz przez ekspedycję oficerów angielskich i amerykańskich, którzy winni towarzyszyć posuwającym się naprzód oddziałom polskim. Zadaniem ich ma być ochrona ludności żydowskiej przed oficerami i żołnierzami polskimi, a jeśli zajdzie potrzeba pewnej ilości żołnierzy, to sądzę, że żołnierze armji amerykańskiej, którzy walczyli również za wyzwolenie Polski, pójdą na ochotnika, aby bronić braci przed chuliganami“.

W roku 1923 w *„Lodzer Volksblatt“* (nr. 41) Szalom Asz pisał:

„Żydzi, którzy mieszkają w Polsce tak długo, jak Polacy, gdyż z pierwszą kartką historji Polski rozpoczyna się także historja żydów w Polsce, nie mogą i nie opuszczą kraju uważanego z równem prawem tak za ich jak i za Polaków. Naród 4-miljonowy nie wywędrowywa. Polacy powinni brać sobie morał z Rosji“.

W wileńskiem *„Unser-Tag“* nr 1036 i 1042 Szalom Asz (w artykule „Ratownicy duszy“) pisał:

„Naród polski, kultura polska jeszcze nie stworzyły idei światowej, z którą żyd mógłby się zasymilować; którą mógłby przyjąć i pozostać przytem żydem. Kultura polska nie jest kulturą światową, lecz kultem katolickim, który jest przystosowany do lokalnego życia chłopskiego. A gdy się kto asymiluje z tą „kulturą“, to musi przyjąć ten właśnie chłopski kult katolicki, bo czego innego niema“...

...„Rosja, rosyjska kultura stworzyła ideę światową, syntezę, system. Rosja jest systemem filozoficznym“.

...„Polska zaś nie wydała takiej idei światowej. Nie możecie się asymilować z Polską i pozostać przytem przy swej własnej narodowości, gdyż Polska nie jest niczem, jak tylko narodowością“.

„Słowem, asymilacja w Polsce musi prowadzić i prowadzi do chrztu. A nie po to przeżyło się te wszystkie lata męki i biedy i ciągnęło wóz historji żydów, przez wszystkie te czarne wieki, po krwawej drodze, ażeby on utknął w polskich błotach chłopskiego katolicyzmu polskiego, posmarowanego muzyką ludową mazurka“...

Nawet w „liście otwartym“ do „marszałka Piłsudskiego“, (październik 1926), tak stale adorujący Sowiecką Rosję (dopóki w niej gubernowali żydzi) Szalom Asz miał czelność wychwalać (w erze żydowskiego Nepu) sowiecki stosunek do żydów:

„Nawet w Rosji zaczęto już dawno — jak Bóg w filozofji Kanta — przekradać kupca przez tylne drzwi, niedługo zaś otworzą przed nim frontowe“.

Aż i wreszcie pierwszy (przed Wandurskim i Jasieńskim) do tych swoich umiłowanych Sowietów pojechał w maju roku 1928, mając tam na Kremlu najbliższych krewnych Oppenheimów i Martynieców. Studjował tam niby O-zet t. j. kolonizację żydów na roli. Poczem w audytorjum teatru żydowskiego na *meeting*'u pod kierownictwem komisarza Siemaszki wygłosił hym pochwalny ku czci Sowietów za ich politykę rolną i osiedlanie żydów na roli, przyczem zaszedł jakiś incydent z żydem Litwakowem, za co p. Asz Litwakowa przeprosił („Nasz Przegląd“ 26 maja 1928); szczegóły pobytu znał dokładnie p. H. Adler.

Kiedy w amerykańsko-żydowskiej prasie obywatel Asz pisywał znów bardzo negatywnie o Sowietach, to wtedy stale zaznaczał, że szefem czerezwyczajki był Polak... ...i dawał do zrozumienia, że G. P. U. składa się głównie z Polaków i Łotyszów (kuzyn Oppenheim jak i tysiąc żydów innych właśnie „pracowali“ w czerezwyczajce).

Ponieważ tedy *conto* biograficzne tego Szaloma Asza (odkrytego i odchowanego przez Polaków: Orkana, Żeromskiego, Kotarbińskiego) było tak obciążone fatalnie, ponieważ autor *„Gott der Rache“* tak się nam odwdzięczył, przeto swego czasu nieco troskliwiej i wnętliwiej zajęliśmy się tem *casus pascudeus*, wiedząc (bo na tyle orjentując się w stosunkach za Oceanem), że p. Asza „protekcja dla Polski jednego dolara pożyczki nam nie przymnoży“. Ponieważ zaś walory literackie tego Asza stoją poniżej Zarzyckiej, przeto napuszoną i napuchłą z dobrobytu indywidualność traktowało się bez ceremonji. Wtedy pan Asz przesłał „Naszemu Przeglądowi“ następującą depeszę, ochotnie wydrukowaną:

Paryż, 24.10. 1928.

Proszę łaskawie ogłosić, co następuje: Dopiero co przeczytałem artykuł Nowaczyńskiego. Wszystkie przezeń przytoczone fakty są kłamstwem. Jest to zbiór plotek gazeciarskich, które w swoim czasie odwołałem i sprostowałem. O żadnych koncesjach jakiegokolwiek charakteru w rozmowie z polskimi mężami stanu nie było mowy.

Sholem Asz

Kłamstwem jest sprostowanie p. Asza; no i co znaczy: „zbiór plotek“ odwołałem? Nic kawaler (*Poloniae Restitutae*?) nie odwołał. Nic nie było do prostowania. *Scripta manent.* Cytaty są dosłowne. Fakty autentyczne, kawalerze! Nie nacjonalizm a zoologiczny szowinizm pana Szaloma wyładowywał się przez długie lata w potwornych szkalowaniach polskiej kultury, polskiego wojska i wszystkiego, co polskie wogóle. Pan Asz obiecywał świadectwo posła polskiego w Waszyngtonie na dowód, że był p. Asz „dobrym Polakiem“. Takiego świadectwa (w naszych warunkach i to możliwe) nie wydostał, natomiast coś tam wydusił od urzędnika poselstwa w Warszawie, p. Kwapiszewskiego.

W roku 1928 drukował Asz w „Dzienniku Lwowskim“ powieść p. t. „Czarownica z Kastylji“, zionącą taką wściekłą nienawiścią do chrystjanizmu i katolicyzmu, że pod presją opinji publicznej „Dziennik Lwowski“ eksport tego *guana* literackiego musiał zlikwidować i druk przerwać.

W mieście Kutnie rada miejska wobec tego, że „Endecy narzucili“ ulicom nazwy: Kościuszki, Kilińskiego i Sienkiewicza, ulicę Podrzeczną nazwała ulicą Szaloma Asza. Referował radny Comber... (Nie Combes a Comber).

Ostatnio, aby udowodnić, że żydzi (Aszkenazim i Chazarowie), mieszkający w Polsce, są tu takimi pełnoprawnymi autochtonami jak Polacy, wymyślił Asz w swej powieści (Kidusz Haszem „Za wiarę świętą“) następującą genezę etymologiczną nazwy „Polania“:

„Bóg przechował u siebie ze zburzonej Jerozolimy kawał ziemi, a gdy Szechina żaliła się, że tułaczy naród nie ma gdzie spocząć, cisnął Pan ziemię ową w świat i rozkazał aby była miejscem spoczynku dla żydów i stąd zowie się ona Polską... po hebrajsku: *„Pol Lin“*.

Tu odpoczniesz!

Słowo zaś „Polanja“ pochodzi od trzech słów hebrajskich *Po-lan-jah* co znaczy po polsku: „Tu spoczął Bóg“!

Polacy przeto nie są tu żadnym narodem-gospodarczem, tylko takim samym lokatorem, który nawet nazwę swej ojczyzny wziął od Hebrejów...

Taki to jest wizerunek tego nie „człowieka poczciwego“, ale wyjątkowo nieprzyjemnego pansemity i kosmopolity Szaloma Asza. Szalom!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Wileński“ z powodu powołania p. Różnieckiego na stanowisko wojewody lwowskiego pisze:

„Jeżeli wziąć pod uwagę to, że wojewoda Różniecki urodził się na Ukrainie naddnieprzańskiej a studjował w Kijowie i we Lwowie, to widać z tego, że rząd poszukiwał człowieka znającego teren, na którym mu działać wypadnie, oraz jego warunki i problemy“.

Przebóg! Tam w Wilnie uważają nasze województwa za część Ukrainy naddnieprzańskiej. Z Kijowa p. Różniecki mógł trafić tak dobrze do Lwowa, jak Krakowa lub Drezna; ale dlaczego znajomość Ukrainy naddnieprzańskiej ma być znawstwem „terenu, na którym działać wypadnie“ p. Różnieckiemu, to już tajemnica mętnych planów sanacyjno-federacyjnych.

*

„Dziennik Poznański“ nie może się nadziwić, że „Myśl Narodowa“ skarciła pewnego poetę za wybryk polityczny, pomimo że ten poeta przedtem zamieszczał swoje wiersze w „Myśli Narodowej“. Bezstronność, nie licząca się ze względami towarzyskiemi, jest dla ludzi z „sanacji“ czemś zgoła niezrozumiałem.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.